Biuro

ROK XIII NR 10 (571) LONDYN, PAŹDZIERNIK 1959 R. CENA 3/-

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

NORWID I ZMARTWYCHWSTAŃCY — O. JÓZEF JARZĘBOWSKI MIC ▪ DIALOG RACJONALISTY Z DOMINIKANINEM — TADEUSZ FELSZTYN ▪ Z WYJAZDU DO POLSKI — CZ. FORTUNOWSKI ▪ SZCZECIN — JAN ZARAŃSKI ▪ GESTY I MANEWRY — ST. CZECHANOWSKI ▪ NAD LEMANEM — MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ ▪ „BABIE LATO A.D. 2000 — EWA GIERATOWA ▪ „USCHNIĘTA GAŁĄŹ" — J. B. ▪ WYSTAWA GRAFIKÓW KRAJOWYCH ▪ „WIĘŹ" Z. E. W

SPRAWY I LUDZIE

ENCYKLIKA „SACERDOTII NOSTRI PRIMORDIA“ z 1. 8. 1959 była poświęcona pamięci św. Jana-Marii Vianney, „probszcza z Ars“, w stuletnią rocznicę jego śmierci.

ENCYKLIKA „GRATA RECORDATIO“ z 26. 9. 1959 zachęca do gorliwego odmawiania Różańca św. w październiku i wskazuje intencje papieskie: modlitwy za duchowieństwo krajowe i na misjach; za rządców państw; na intencję Synodu diecezji rzymskiej i Soboru Powszechnego.

Październikowy „Czyn Katolicki“, przypominając obowiązki w „miesiącu różańca“, poleca książkę ks. S. Tworkowskiego „Różaniec święty“ (na składzie w K. O. W. „Veritas“, 12 Praed Mews, London, W.2; cena 3/9).

✠

INTENCJA PAPIESKA NA PAŹDZIERNIK: „aby misje ludowe stawał'' się częstsze i owocniejsze“.

✠

Nowy tekst **AKTU POŚWIĘCENIA RODZAJU LUDZKIEGO CHRYSTUSOWI-KRÓLOWI** został ogłoszony przez św. Penitencjarię Apostolską.

✠

ŚWIĘTO CHRYSTUSA KRÓLA W POLSKIM ROKU „ŻYCIA I EUCHARYSTII“. I.P.A.K. w W. Brytanii ogłosił odezwę wzywającą społeczeństwo katolickie do złożenia publicznego hołdu **Eucharystycznemu Chrystusowi — Królowi Życia.** We wszystkich polskich parafiach odbędą się uroczyste nabożeństwa ze wspólną Komunią św. Na zebraniach ku czci Chrystusa Króla rozważany będzie temat: „Katolicki pogląd na świat i katolicka postawa wobec życia“. W dniu tym (niedziela, 25. 10) odbywa się **doroczna zbiórka na cele Polskiej Akcji Katolickiej w W. Brytanii.**

✠

OJCIEC ŚW. powiedział (30. 8. w Castel Gandolfo), że jeśli przedstawiciele „naszych braci odłączonych“ wyrażą chęć „asystowania“ przy obradach Soboru — należy ich przyjąć, ponieważ **Kościół jest zawsze ich domem,** od którego się oddalili wśród przejść historycznych“.

✠

KSIĘŻA ROBOTNICY. Dekrety Kongregacji św. Oficjum z 10 i 24. 6. 59, zatwierdzone przez Ojca św., zadecydowały, że księża-robotnicy winni zaniechać pracy innej niż duszpasterska i studia. W fabrykach i przy warsztatach zastąpią ich grupy świeckich, którzy zechcą poświęcić się apostolstwu wśród rzesz robotniczych. Episkopat francuski ma opracować nowe metody akcji misyjnej na terenie robotniczym. Stolica Apostolska docenia poświęcenie i wkład księży-robotników; zaleca rozwój ścisłego współdziałania księży i świeckich w akcji misyjnej prowadzonej przez „instytuty świeckie“, rozszerzając ostatnie doświadczenia francuskiej „Misji Robotniczej“.

✠

Msza św. i oficjum **ŚW. WAWRZYŃCA Z BRINDISI, DOKTORA KOŚCIOŁA** (breve z 19. 3. 59), zostały ogłoszone przez św. Kongregację Rytów (dekret z 8. 7. 1959).

✠

Zgromadzenie Generalne KONFERENCJI KATOLICKICH ORGANIZACJI MIĘDZYNARODOWYCH (COIC — po francusku, CICO — po angielsku) odbędzie się **w r. 1961 w Stanach Zjednoczonych.** To historyczne postanowienie jest jednym z wyników podróży do Ameryki stałego sekretarza gen. Konferencji, **Mieczysława Habichta,** oraz obecnej przewodniczącej, Marii H. C. Vendrik, prezeski Światowej Federacji Dziewcząt Katolickich. W spotkaniach (m. in. z msgr. Paul F. Tanner, sekr. gen. NCWC) towarzyszyła im Rosemary Goldie, dyrektorka Stałego Komitetu Światowych Kongresów Apostolstwa Świeckich.

✠

W **„DUSZPASTERZU POLSKIM“** (rok X, nr 4), J. E. Ks. Arcybiskup — Opiekun Emigracji dziękuje — w dziesięciolecie pisma — „wszystkim Czcigodnym Współpracownikom za poniesiony trud i za wkład w nasze wydawnictwo, jedyne tego rodzaju wśród wszystkich powojennych emigracji“.

Numer liczy 150 stron; zawiera prace m in. prof. O. Bednarskiego O.P., ks. Warszawskiego T.J., ks dr. Mantheya, ks Kołodziejczyka; dział dokumentacji; recenzje; polską kronikę zagraniczną.

✠

„CHRZEŚCIJAŃSTWO — RELIGIA ŻYCIA“ było tematem **Zjazdu Katolickiego,** który Instytut Polski Akcji Katolickiej w W. Brytanii zwołał do **Coventry** 19-20 września.

Zjazd miał charakter kursu ideowego; referaty i konferencje związane z III rokiem Wielkiej Nowenny, „Rokiem Życia i Eucharystii“: dr T. Felsztyn — „Początek życia ludzkiego na ziemi w świetle wiary i nauki“, inż. A. Ścibor-Rylski — „Katolicka postawa wobec życia“, M. Krzysztoporska — „Problemy współczesnej rodziny“, ks. prob. J. Gołąb — „Odpowiedzialność za życie własne i bliźniego“, kazanie o „Życiu nadprzyrodzonym“ — ks. mgr K. Krzyżanowski, asystent kościelny IPAK.

Zjazd zgromadził około 200 osób, w tym około 40 delegatów z 14 ośrodków w Anglii i Walii oraz delegat Szkocji.

Uczestnicy byli podejmowani przez ks. C. Sowińskiego, proboszcza w Coventry, oraz przez Komitet Parafialny.

✠

INSTYTUT EUROPY WSCHODNIEJ (Institut de l'Europe Orientale, 1A rue de l'Hopital, Fribourg, Suisse), założony przy uniwersytecie fryburskim, pod kierownictwem **prof. dr. J. Bocheńskiego, O.P.** (członkowie komisji: Brenne i Regamey), ma na celu „badanie i opracowywanie zagadnień naukowych dotyczących Europy wschodniej; rozpowszechnianie znajomości tych zagadnień; współpracę z podobnymi instytucjami w Szwajcarii i zagranicą“. Instytut organizuje prace badawcze (nie ma wykładów) głównie dla doktorantów; wydaje dyplomy. Biblioteka Instytutu specjalizuje się w „dziedzinie marksizmu-leninizmu sowieckiego“ i w „zagadnieniach religijnych krajów Europy wschodniej“

Instytut wydaje zbiór „Sovietica“ oraz przygotowuje wydanie rozpraw: „Einstein i filozofia sowiecka. Kryzys doktryny“ — dr Siegfried Muller-Markus; „Marksizm-leninizm w Czechosłowackiej Republice Ludowej“ — dr Nicolaus Lobkowicz; „Marksizm-leninizm w Polsce“ — dr Zbigniew Jordan; „Sowiecka logika“ — prof. J. Bocheński; „Metoda w sowieckiej filozofii“ — Thomas Blakeley.

✠

BEŁCH S. F. (Londyn): PAULUS VLADIMIRI AND HIS DOCTRINE ON INTERNATIONAL LAW AND POLITICS. A study in the fifteenth century Polish school of international law. **Part I LIFE, WORKS, DOCTRINE,** ab. 1000 pp. 16 × 24 cm. Cloth — ab. gld. 80. — Oto tekst ogłoszenia w biuletynie nr 24

(Dokończenie na str. 32)

SPIS TREŚCI

FUNDUSZ ŻYCIA

ZŁOŻYLI OFIARY NA FUNDUSZ „ŻYCIA“
(w porządku chronologicznym do 30. 9. 1959)

Zbigniew Trylski	**£ 0.10.0**
M. Wojnarowski	**2.0**
Dr B. Ziętak (USA)	**4. 0.2**
S N. (USA)	**1.15.6**
Wisław Rybotycki	**10.3**
Krzysztof Górski	**16.8**
Halina Heitzman (USA)	**1. 7.4**
Antoni Pospieszalski	**1.10.0**

ROZPOWSZECHNIAJ «ŻYCIE»

O. JÓZEF JARZĘBOWSKI, M. I. C.

NORWID I ZMARTWYCHWSTAŃCY

Przeglądając w roku ubiegłym z pietyzmem i benedyktyńską starannością wydany przez Juliusza Gomulickiego tom „Okruchów poetyckich i dramatycznych“ Norwida (P.I.W. 1956 r. Warszawa) natknąłem się na intrygujący drobiazg.

Tytuł jego „Scherzo“. Wiersz, w lapidarnym skrócie dramatycznym, przedstawia jakąś tajemniczą walkę duchową — pokusę — między trzema anonimowymi osobami.

Oto treść wiersza:

I-o — Dam tobie cały łańcuch chceń i chęci
Promieni siedem tobie dam tęczowych
i tę ogromną księgę — bez pieczęci,
którą przewiewa wiatr...
A będziesz z owych,
Co jako duchy noszą się osobne
Po niedotkliwych falach zaświatowych
Gdzie wszystko takie jest...

ON ...i niepodobne!...

II-o — A ja dam tobie miast i ziem obfitość
Szalonych koni sto — służebnych chóry,
I nudę — drzwiami ci napiszę — sytość.
Ażebyś sobie był jak dzień, bez chmury.
— I niech ci nektar piwnice wypełnia,
Muzyka w krągłych gnieździ się sklepieniach
A kędy stąpisz, szkarłat się rozwełnia...
Wybieraj!

ON — Dosyć — wtedy będę w sieniach...

I-o — A ja ci może...

ON Wątpliwości słowo!

II-o — Więc czegóż chciałbyś, przewrócona głowo??

ON — Chcę, — abyś odszedł... nie chcę samotności

(Tu świta biały dzień rzeczywistości).

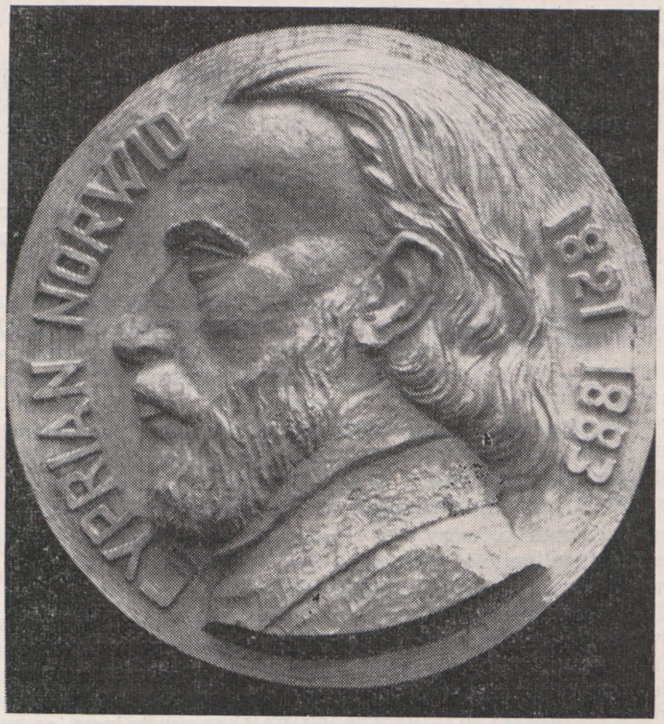
(1847)

Tajemniczość tego wiersza chce rozjaśnić Juliusz Gomulicki swoim komentarzem (str. 292-93).

A więc najpierw interesujące szczegóły. Wiersz był wpisany w album Marii z Tyzenhauzów Przeździeckiej, która wraz z mężem Aleksandrem bawiła wtedy w Rzymie (1847). Była to osoba bardzo religijna i miłośniczka malarstwa.

Scena kuszenia przypomina scenę kuszenia Chrystusa z Ewangelii św. Mateusza (Mat. 4,1-11), tylko że tu kuszonemu („ON“) przedstawiają się aż dwie ciemne moce. „Jeden z nich“ — to kusiciel, który chce otwierać jakieś skarbnice mistyczne, to jakiś iluminat, mag, kabalista, sięgający niejasno, acz domyślnie, do ksiąg Apokalipsy św. Jana. Drugi kusiciel rozwija powaby jakiegoś wyrafinowanego epikureizmu, bo poza obfitością „miast i ziem“, obiecuje szaloną jazdę „koni stu“, chóry, nudę, nektar, muzykę i szkarłat puszystych kobierców. Kim są te tajemnicze osoby?

„ON“ — to niewątpliwie mocny i czysty duch samego poety. Ale kto „I-o“ i kto „II-o“? Gomulicki w II-gim kusicielu rozszyfrowuje sekretarza rosyjskiej ambasady w



Cyprian Kamil Norwid — medalion Kazimierza Węglewskiego (na pomniku grobowym w Montmorency, ufundowanym przez Polonię paryską w 1952 r. i w Zakładzie św. Kazimierza w Paryżu, wmurowany staraniem rodaków w roku 1958, w 75-lecie zgonu poety).

Berlinie, Fontona, który obiecywał uwięzionemu przez Prusaków Norwidowi „une carrière brillante“ pod warunkiem „expiacji“ i wstąpienia do służby rządowej (str. 292).

Może tak, może nie. Trudno sobie wyobrazić, by młodemu kanceliście Heroldii Warszawskiej, a choćby zapowiadającemu się poecie, ambasada (czy jej wysłannik) obiecywała takie upajające miraże potęgi i bogactwa w jego zresztą bardzo estetyzującym powabie...

Ale, zresztą, do sugestii wstąpienia na służbę rządową mógł poeta dodać własny swój romantyczny patos i klasyczny przepych. Wszak i skromna nauczycielka Narcyza Żmichowska w podobny sposób swoją rzeczywistość oblekała w splendory zaklętych pałaców w „Pogance“.

Natomiast bardziej interesujące są domysły co do osoby „I-o“, owego pierwszego kusiciela.

„Rozszyfrowanie drugiego kusiciela jako przedstawiciela ambasady berlińskiej — pisze Gomulicki — pozwala z dużym prawdopodobieństwem ujrzeć w pierwszym kusicielu jednego z rzymskich księży zmartwychwstańców ((Jełowickiego lub Semeneńkę), którzy pragnęli zdaje się skaptować poetę dla swego zgromadzenia, przynajmniej w charakterze „brata zewnętrznego“, jakim był np. Jan Koźmian, wywierający na Norwida duży wpływ w okresie berlińskim.

I z tych „prawdopodobieństw“ („dużych“ — dla sugestii i z tego „zdaje się“) idą dalsze przypuszczenia:

„Do tego właśnie czasu (1846-47) — ciągnie komentator — i do tego epizodu odnosi się bodaj arcyciekawy ustęp w liście poety do Aug. Cieszkowskiego z r. 1850: „Jako Kościół — do którego przez parę lat wstąpić myśl miałem i pra-

cowałem wewnątrz nad tem — to: że gdybym dziś zakonnikiem stał się — jutro herezje zrobiłbym, nie mogąc wchodzić do Kościoła kontemplacji, bo w tym trwam i jestem, ale jako **czynnik** i pracownik. A Kościół, który na Anglię nie przez boleść irlandzką, a na Rosję, nie przez boleść polską działa. nie obowiązuje mię w swej akcji — i o ile jest w tej akcji, zginie za niewiele już czasów, bo apostolstwo nie jest dyplomacją i kuglarstwem i kabalistyką ale proroctwem szczerym.." (Listy I,65-60).

Po tej cytacie, która koniunkturalnie ma podważyć opinię dzisiejszych politruków — niepokojących się niezłomnością katolicyzmu Norwida, po tych wszystkich „zdaje się" i „bodaj" następuje już zdecydowanie konkluzja:

„Oto odpowiedź, jaką poeta dał Zmartwychwstańcom (polowali oni już przedtem na Gogola i Stefana Witwickiego, a później na Lenartowicza) i jako bohater wiersza „Scherzo" dał obu kusicielom."

Pomijając stwierdzenie „faktu" domysłami i przypuszczeniami, razi bardzo w tym fakcie zrównanie obu „kusicieli": przypuszczalnego agenta z rosyjskiej ambasady w Berlinie — ze... Zmartwychwstańcami! Zestawienie i zrównanie krzywdzące. Agent — urzędnik i polski ideowiec — powstaniec, który po wewnętrznych walkach o prawdę przywdziewa sutannę, by rodaków prowadzić ku Bogu, by pracować dla dobra ich dusz! Komentator tych „kusicieli" wymienia nawet z nazwiska: Semeneńko i Jełowicki...

Semeneńko, który jeśli zyskał wielki autorytet duchowy wśród inteligencji polskiej, to nie drogą szarlatanerii, ale swą najczystszą żarliwością religijną, swą filozoficzną myślą, swą twardą ascezą; i Jełowicki, który stał u kolebki dwu arcydzieł polskiej literatury, jako wydawca „Pana Tadeusza" i jako protektor „Litanii" Norwida, jemu zresztą dedykowanej; Jełowicki, który jako spowiednik Mickiewicza i Chopina przyjmował ich najskrytsze tajemnice życia, który może szorstko, ale zawsze z wielkim sercem dzielił dolę i niedolę polskiego wygnaństwa!

A wreszcie samo potraktowanie Zmartwychwstańców, jako mafii, jako ezoterycznej i ambitnej kliki, która **kusi** i **nęci** „tęczowymi promieniami", **tajemniczymi** księgami, lotami „po niedotkliwych falach zaświatowych", a którym wspaniały duch Norwida opiera się i których przepędza, jako kusicieli — czyż naprawdę odpowiada obiektywnej prawdzie i stosunkowi do Zmartwychwstańców Norwida?

Wystarczy, choćby pobieżnie poznać się z czterotomową „Historią Zgromadzenia Zmartwychwstania Pańskiego" ks. Pawlickiego (Kraków 1893, 4 vol.) lub najnowszą jednotomową pracą ks. Kwiatkowskiego, pod tymże tytułem (1942), aby wyrobić sobie opinię o twórcach, duchu i pracach Zmartwychwstańców. Ich cel — poza własnym uświęceniem, to pogłębianie życia religijnego Polaków, informowanie Rzymu o zamachach wrogów na katolicyzm polski, to dostarczanie czytelnikom polskim klasycznych dzieł duchowej literatury, jak „Katechizm" Bellarmina, jak „Naśladowanie Chrystusa", jak „Filotea" św. Franciszka Salezego; wreszcie potężny wysiłek misyjny w **Stanach Zjednoczonych**, by zaopiekować się rosnącymi rzeszami polskich emigrantów, lub w Bułgarii, by tam rozwijać ruch unijny.

Cóż to więc za „wtajemniczenia", uwodzące iluminacje, obezwładniające pseudo-mistycyzmy — od których obronił się zwycięsko i od których odciął się tak energicznie Norwid? — O ile się „obronił" i „odciął".

Ks. Semeneńko, czy ks. Jełowicki w roli iluminata? Maga? Kompletne nieporozumienie!

Jaki więc był rzeczywiście obustronny stosunek Norwida i Zmartwychwstańców?

W roku 1848 pisze Norwid w Rzymie w wigilię Bożego Narodzenia „Psalm Wigilii" z dedykacją:

„Oycu H.[ieronimowi] K.[aysiewiczowi] na świadectwo szacunku powinnego przypisany, R.P.1848."

„Do Najświętszej Panny Maryi Litania" ma również znamienną dedykację (Pini ją opuszcza, podaję więc ją za prof. Cywińskim, „Wybór Poezji", 1924):

„Księdzu Aleksandrowi Jełowickiemu Zakonu Zmartwychwstańców — w upominku wdzięczności — Cyprian Norwid 1852 w kwietniu."

Jest więc wobec rzekomych „kusicieli" i „powinny szacunek" i — „wdzięczność"...

W zbiorze listów wydanych przez Przesmyckiego (Pisma — tom VIII Listów cz. I i II, Warszawa, 1937) przez wiele lat spotyka się liczne i ciepłe często wzmianki o Zmartwychwstańcach, świadczące o życzliwym do nich stosunku poety. Jacyż to Zmartwychwstańcy? Poza o. Kajsiewiczem i o. Jełowickim (o tym najczęściej poeta mówi) są wymieniani jeszcze — o. Kaczanowski i raz jeden o. Hube. Był to więc stosunek długotrwały i przyjacielski. Ale i wśród najlepszych przyjaciół mogły się zdarzać przelotne dysonanse i chmurki. Nadmierna drażliwość poety, jego nerwowość i egotyzm bywały tego przyczyną. A i z drugiej strony również mogło dochodzić do różnic czy chwilowych nieporozumień. Raz jeden poeta w liście do kuzyna Michała Kleczkowskiego pisze podenerwowany (list 195):

„Ks. Kaysiewicz jest w Rzymie, adres jego kościół San Claudio, via San Claudio. Ja oprócz ołtarza i konfesjonału nic także z księżmi nie mam."

A jednak, mimo wszystko, poeta podkreśla: **ołtarz** i **konfesjonał** jako istotny węzeł tego stosunku. Nawet w cytowanym przez J.Gomulickiego urywku z listu do Cieszkowskiego, który tchnie pewną krytyką Kościoła, Norwid składa cenne wyznanie o noszeniu się z myślą wstąpienia do Zakonu:

„Jako Kościół — do którego przez parę lat wstąpić myśl miałem [należy to rozumieć o służbie dla Kościoła w Zgromadzeniu zakonnym, boć do Kościoła Norwid należał zawsze] — gdybym dziś zakonnikiem stał się, jutro herezję zrobiłbym." (Listy I. 49. str. 65).

Ta myśl wstąpienia do zakonu, wspominana w r. 1850 jako przeszłość, później w parę lat znów ożyła, gdy poeta był u kranca swego duchowego kryzysu w Stanach Zjedn. i po powrocie do Londynu, a więc w roku 1854, maj, w Ameryce i wrzesień w Londynie. Ale o tym powiemy później. Tu chcemy tylko zaznaczyć, że Norwid **sam** myślał o wstąpieniu do zakonu i nie potrzebował się bronić przed zakusami czyhających Zmartwychwstańców. którzy usiłowali chytrze „skaptować„ poetę przynajmniej w charakterze „brata zewnętrznego", jakim był np. Jan Koźmian i jak „polowali oni już przedtem na Gogola i Stefana Witwickiego, a później Lenartowicza" — według J. Gomulickiego.

Wyczuwamy w tym komentarzu pewną ironię i złośliwość. Każdy związek ideowy ma prawo do życia, a więc pozyskiwania sobie członków. Każdy też zakon katolicki posiada organizację ludzi świeckich, którą dopuszcza do współudziału w pracach, modlitwach i zasługach. Benedyktyni — mają współżyjących z nimi Oblatów (jak np. Huysmansa), franciszkanie i dominikanie — swoje koła tercjarskie, salezjanie Don Bosco — swoich „pomocników salezjańskich", jezuici — sodalicje (choć zakres ich jest nieco odmienny) — a zapewne w Kraju istniejące poza partią Towarzystwa Przyjaciół Rosji Sowieckiej są niczym innym jak czerwonym tercjarstwem, imitującym organizacje zakonów katolickich. Mógł więc i Norwid należeć do takich „braci zewnętrznych", jak Koźmian, jak obaj Zalescy, jak Witwicki, który nb. wraz z Mickiewiczem od samego początku należał do powstałego w 1834 bractwa „Braci Zjednoczonych" Z tego to kółka pod wpływem Jańskiego, a za radą Mickiewicza, wyłania się zakon, polski zakon zmartwychwstańców.

Stefan Witwicki zmarł wkrótce po złożeniu ślubów zakonnych (1847), połączywszy się całkowicie ze Zgromadzeniem.

„Polowanie na Gogola" jest mylnym przypuszczeniem, ile że znakomity pisarz rosyjski był prawosławnym. Natomiast księżna Zenaida Wołkońska, konwertytka i przyjaciółka Polaków a dobrodziejka młodego Zgromadzenia, kontaktowała Gogola z ks. Semeneńką w nadziei pozyskania dla Kościoła wielkiego pisarza.

Również nie odpowiada nam zwrot J. Gomulickiego związany z przypuszczalną walką Norwida z „kusicielami". „Do tego właśnie okresu czasu 1846—47) i do tego epizodu odnosi się **bodaj** (podkreślenie nasze) arcyciekawy ustęp w liście poety do Augusta Cieszkowskiego z r. 1850." Dalszy ciąg zajmuje znany nam cytat Norwida z krytyką działalności Kościoła.

Jest między okresem 1846/47 a 1850 **różnica lat trzech**. Zdaje się, że w latach 1850-52 Norwid silnie przeżywał swój kryzys wewnętrzny w związku z miłością do Marii Kalergis. Ta miłość z punktu widzenia etyki katolickiej (Maria Kalergis była rozwódką) musiała wchodzić w konflikt z zasadami Kościoła. To boleśnie duszę gmatwało i rozdrażniało poetę. Stąd krytycyzm i gorycz w sądach o Kościele. Był to jednak chwilowy, namiętnością wzburzonego serca, spowodowany wybuch.

Dlatego hipoteza o „I-szym kusicielu" jako Zmartwychwstańcach — jest nie do przyjęcia.

A weźmy jeszcze pod uwagę i to, że „Scherzo" było wpisane do albumu osoby, którą J. Gomulicki sam charakteryzuje, jako „bardzo religijną". Czy taki atak przeciw katolickiemu zakonowi byłby w albumie Marii Przeździeckiej na miejscu i to w okresie, w którym poeta „O. Hieronimowi Kaysiewiczowi na świadectwo szacunku powinnego" Psalm wigilijny dedykuje?!

Kimże więc jest ów pseudomistyczny „kusiciel", zasłaniający się autorytetem Apokalipsy, obrazem „**duchów** noszących się po niedotkliwych falach zaświatowych"? To nie Zmartwychwstańcy. To **towianizm** — jako idea. I nie Semeneńko lub Jełowicki. To „mistrz" Towiański i wieszcz Mickiewicz — jako tej idei uosobienia.*)

Rok „Scherza" to rok 1848. Rok „wiosny ludów". Rok wielkiego wysiłku Mickiewicza, by pozyskać „Urząd duchowy", Papieża, dla „Sprawy Bożej". W dn. 7 lutego rankiem Mickiewicz zjawia się w Rzymie. Równocześnie przybywa Ludwik Norwid, brat poety, mąż zaufania „braci" i „mistrza" Andrzeja, prawdopodobnie jako obserwator. Ze Zmartwychwstańców w Rzymie są ks. Józef Hube i ks. Al. Jełowicki. Ks. Semeneńko przebywa na kuracji w Algerze. Ks. Kajsiewicz wyjechał do Paryża na stanowisko rektora kościoła dla Polaków, „Assumption". W Rzymie z Emigracji jest wielu wybitnych jej przedstawicieli: gen. Władysław Zamoyski, Zygmunt Krasiński, a także Orpiszewski i Jełowicki. Rozpoczynają się zapasy duchowe Adama z sobą samym i z obozem katolickim. Następuje dramatyczna spowiedź, w dniu 25 marca niefortunna audiencja u Papieża, kłopotliwa dla całego otoczenia ze względu na zachowanie się wieszcza; 27 marca burzliwy sejmik emigrancki i ostre starcie Cypriana Norwida z Mickiewiczem. Z kolei go jako na odstępcę nauki Towiańskiego. Mickiewicz tworzy Legion i ogłasza „Symbol" — manifest przyszłej akcji.

Jak to wszystko przeżył autor „Scherza" Cyprian Norwid? O tym mówią jego listy do Bogdana Zaleskiego, do gen. Skrzyneckiego, do Marii Trembickiej. Są one świetnym komentarzem do „I-go kusiciela".

Pochwala więc przede wszystkim Krasińskiego za jego „trzeźwość w mistycyzmie, którą tylko znajomość katolicyzmu zrodzić może" (I,24, do B. Zaleskiego), bo Krasiński mocno przeciwstawiał się teoriom mistrza Andrzeja.

Wyraża też żal, że brat jego, Ludwik, dał się omotać Towiańskiemu: „Słyszałem o braciszku moim, że się w Duchy zapisał" (I,24, do B. Zaleskiego). Sam na sejmiku 27 marca zdecydowanie wystąpił przeciw Mickiewiczowi, gdy ten „porwał się z miejsca i (gdy) nareszcie Towiańskiego książkę wziął do ręki, byłem zmuszony mu zaprzeczyć a nazajutrz w liście najwyraźniej przedstawić wszystko, co przeciwko kierunkowi przez niego propagowanemu mam na sercu." (I, 26, do gen. Skrzyneckiego).

„Ten człowiek — pisze dalej — straszny jest dla Polski. W organizacji jego pękła, jak sądzę, ta **sprężyna**, co zarazem jest **wędzidłem**. Dobre i złe się miesza w subtelności formuł jego..." (idem).

Następuje krytyka całego systemu Towiańszczyzny.

„Moralność w Towiańszczyźnie jest okropnie pojęta... **Zboczenia** biorą za ofiarę... okropność biorą za energię — i wolność wyznań tak pojmują, iż w końcu tego ich pojęcia **rozwolnienie** raczej obyczajów i rozwiązanie Kościoła by nastało... Podobnież w pojęciu własności są na pochyłości komunizmu, a w pojęciu **narodu** na drodze do **komunizmu politycznego** czyli do **panslawizmu**" (idem).

W liście do Zaleskiego jest ostra krytyka Mickiewiczowskiego manifestu. (I, 27, str. 43.)

„Manifest ten, w rzeczach Kościoła dąży do najdokładniejszego wyniszczenia dogmatu i rozwolnienia duchowego... Manifest ten, w Polskości, dąży do zupełnego wyniszczenia wszelkiej tradycyjnej ojczystości..."

„Manifest ten, w pojęciu własności, dąży do najzupełniejszego rozgminienia... Bo gdzie **na-ród** bez **rodów**, a rodom prawa nie przyznaje...

„Manifest ten jest przeto najzupełniej niedorzeczny — że już emancypację kobiet mijam, która formalnie pojęta i jak **prawo** jest doskonałem głupstwem.

„Pojęcie Pana Adama... jako prawo, jako ukaz — mistyczno-Fourierowski jest niedorzecznością — i jest fałszem, radbym, żeby nie krwawym." (List do B. Zaleskiego, I, 27, 43-44.)

Tak ostro osądzając „rewolucyjny mistycyzm" Mickiewicza Norwid przecie cierpiał. „Nie umiem powiedzieć — pisze — jak mnie to wiele kosztowało. Widzieć się przymuszonym tak wielkiej sławie narodowej i siwym włosom prawdy gorzkie słowa powiedzieć, zwłaszcza iż brat mój tu przytomny także się przeciw mnie podniósł" — pisze do gen. Skrzyneckiego 15 kwietnia 1848. (I, 26, str. 41.)

A do Zaleskiego (24 kwietnia 1849): „Pojmujesz że milejby mi było uczepić się do tej **Sławy-sław** narodu i za chorągwią jego popłynąć, niźli zaprzeczyć mu i zostać **niepostępowym** maruderem... Ale co było robić?" (I, 27, str. 44.)

Jeszcze w lipcu, w liście do Marii Trembickiej widać refleks tego oporu i demaskowania Mickiewiczowskiego mistycyzmu.

„[Sługa Pani] widział **kłamstwo na ustach opiewających rzecz anielską i skrzydła z pawich piór szatańskie do najpiękniejszych upięte ramion**." (I, 30, str.48.)

Ostatnie słowa to jakby komentarz samego Norwida do „kusiciela I-o" ze „Scherza" pisanego w Rzymie 1848.

Pobożna hr. Maria Przeździecka przyjęła wiersz, wpisany przez poetę do jej albumu, bez żadnych skrupułów czy wątpliwości...

Podzielała opinię polskich katolików w Rzymie będących i bolejących nad rozejściem się dróg Mickiewicza, idącego po linii „mistycyzmu rewolucyjnego".

---

*) J. Gomulicki podkreśla w wierszu aluzje i powiązania z Apokalipsą. Apokalipsa i Ewangelia św. była wielce respektowana i komentowana przez Towiańczyków. Ks. Duński, który potem sam do nich przylgnął, świadczy, „że tłumaczą sobie dowolnie Pismo, szczególniej też objaśniają sobie ewangelię św. Jana i Apokalipsę".

(Ks. Wl. Kwiatkowski: Hist. Zgrom. Zmartwychwstania Pańskiego", Albano, 1942, str. 71, wydana jako manuskrypt)

II

Takie myśli snuły mi się zimą 1958 r. po przeczytaniu „Okruchów poetyckich“ z komentarzami J. Gomulickiego.

Stwierdziwszy dwie dedykacje poety dla Zmartwychwstańców, list do ks. Jełowickiego z epistolariusza Przesmyckiego (II, 509), doszedłem do wniosku, że między Norwidem a Zmartwychwstańcami musiały istnieć stosunki korespondencyjne.

Gdzie ich szukać? Skrzętny Miriam Przesmycki, wydawało się, że dotarł do wszystkich możliwych źródeł... Ale czy dotarł do Zmartwychwstańców? By rozwiązać to pytanie, pozwoliłem sobie bezpośrednio zwrócić się do domu Generalnego XX. Zmartwychwstańców w Rzymie.

Po dłuższym oczekiwaniu otrzymałem za uprzejmym pośrednictwem ks. Wł. Kosińskiego wiadomość, że poszukiwania dały pomyśne wyniki. Odnalazł on 10 listów Norwida. Dalsze poszukiwania powiększyły tę liczbę jeszcze o 9. Z wyciągów przekonałem się, że korespondencja ta nie była znana Przesmyckiemu, że listy te naświetlały stosunek Norwida do Zmartwychwstańców, że dawały wiele nieznanych i interesujących szczegółów do psychiki i przeżyć poety, zwłaszcza z mało znanego okresu, a najbardziej może tragicznego, z pobytu poety w St. Zjednoczonych.

Zanim XX. Zmartwychwstańcy opublikują te listy w swoich „Studia Resurectiana“, korzystam z zezwolenia, by podać bardziej interesujące wyjątki, rzucające światło na przyjaźń Norwida ze Zmartwywstańcami.

Korespondencję zaczyna list z dn. 2 stycznia 1849 do ks. Al. Jełowickiego; kończy — list do ks. Karola Kaczanowskiego z 15 kwietnia 1862.

Liczbę 19 listów da się powiększyć jeszcze 2 listami: jednym ze zbiorów Przesmyckiego (II, 509, 1868 r.) i jednym podanym w katalogu wystawy C. Norwida, Warszawa, 1946, str. 25) datowanym: Paryż 13 lutego 1863. Jest to podziękowanie za różne dobre myśli i spostrzeżenia, jak objaśnia katalog. Treść całkowita jest mi nieznana.

Poza **korespondencją**, należy dla uzupełnienia stosunków uwzględnić i **wzmianki** rozproszone o Zmartwychwstańcach po innych listach. Podaje to Przesmycki.

I tak o ks. Jełowickim (1804-1877) wzmianki są w listach: 73, 131, 270, 296, 508, 536, 541, 629, 674, 698 i 703 — razem 11.

O ks. Kajsiewiczu (1812-1873) wzmianek w listach (36,195) dwie.

O ks. Kaczanowskim (1800-1877) również dwie (76,122). Jest nadto jedna wzmianka o ks. Hube (list 296). Brak innych Zmartwychwstańców sprowadza — na razie — stosunek do czterech osób: ks. Jełowickiego, ks. Semenenki, ks. Kajsiewicza, ks. Kaczanowskiego. Poznał ich — zapewne w Rzymie i w Paryżu, gdzie duszpasterzowali Emigracji. Stosunek trwał lata całe.

Najbardziej w świetle tych danych Norwid związany był z ks. Jełowickim (6 listów i 12 wzmianek), potem z ks. Semenenką (7 listów). Do ks. Kajsiewicza pozostały dwa listy, a do ks. Kaczanowskiego trzy.

Wyjątki z listów poinformują i o rodzaju stosunków.

W pierwszym liście (do ks. Jełowickiego, 2.I.1849) jest mowa o adresie do Ojca św. Piusa IX.

> „**Byłoby** mi boleśnie gdybym nie wziął udziału w tak poczciwym zamiarze a może nawet obowiązku... Pośpieszam tylko z prośbą o zamieszczenie imienia mego **pod** adresem... Jeśli wierność Kościołowi i polskości uczuć dostateczną kwalifikacją jest w tym względzie.“

Do ks. Semenenki, Paryż 16 sierpnia 1849:

> „Dziękuję najpokorniej za pamięć. Za pamięć o wieczystej cząstce mej (duszy) — dziękuję najserdeczniej za wszystko co serdecznie raczy Oyciec mi mówić. Nie mówię **iżbym stał** — przeto, abym nie upadł, — ale mówię iż upadłem i leżę, aby wstać...
>
> ...co nie zwykłem robić — o zdrowiu moim myśleć muszę. Z powodu iż po prostu cierpię na konwulsie — czego już dawno nie miałem. Doktorów się nie radzę, albowiem nic mi nie pomogą — zabałamucą tylko: wiem, co mi trzeba — kąpieli morskich kilka — konnej jazdy — obudzenia się prawdziwego życia w społeczeństwie. Konwulsie przejdą, jak przechodziły, już — a tymczasem i one ulgą, — bo lepiej co pewien przeciąg czasu chwilę nienormalną przebyć, — niż z gmatwanymi nerwami, z duszą w excentryczny kołtun biedzić się co dzień, co godzina...
>
> ...Pod tymi wrażeniami piszesz Sz-ny Oycze mój do mnie, wiem, że gdybym człowieka torturowanego widział raz, a potem spotkał na ulicy, nie tego bym widział, lecz tamtego. Leży to w naturze i dobroci, — leży w ludzkości — jako uczucie uważanej. O ile Jedyny — Miłościwy modlitwy moje przyjąc zechce(?) ...*) niemi dobroć Sz-nego Oyca.“

O. Semeneńko (1814-1886) to spowiednik i duchowy kierownik Norwida. Toteż zwraca się doń w sprawach sumienia, w sprawach swoich wad i potknięć.

> „6 kwietnia, 1852.
>
> Szanowny i Kochany Oycze — mam nieskończenie ważny do Oyca interes — spowiedź — chciałbym wiedzieć dzień i godzinę... Zmiłuj-że się, Drogi Oycze, nie zwłócz — potrzebuję prędko z Oycem się widzieć.“

Dramat się w duszy komplikuje.

List bez daty:

> „Miałem zaszczyt upraszać X. Piotra Semeneńkę, aby raczył spalić pisma rekolekcyjne, które stanowią w pewnym względzie część spowiedzi mojej. Powtarzam to z przyczyny, że nie raczył mi X. Piotr odpowiedzieć, czyli odebrał pismo one, w którym o to prosiłem.
>
> Że nie mam dość pewnej drogi i wiadomości o pobycie penitentki X. Piotra P. Hr. Kalergis, a ze społeczeństwem polskim stosunki moje są prawie żadne, dołączam przeto list do tejże damy, który sądzę, iż należy, ażeby Jej był wręczonym.“

Dotąd w pismach ks. Semeneńki i w jego pamiętniku, drukowanym wprawdzie z opuszczeniami w t. III „Millenium“, nie udało się wykryć jakiejkolwiek bądź wzmianki o Norwidzie. Może właśnie **charakter spowiednika** był przyczyną tej dyskrecji i powściągliwości? Może, jako spowiednik, odnosił się ks. Semeneńko surowo do Norwidowskiego romansu z kobietą zamężną i rozwódką; może karcił przewrażliwienie poety, a potem nawet i do jego powołania zakonnego odnosił się z rezerwą? Bądź co bądź, Norwid o ks. Semeneńkę opierał się w swoich sprawach duchowych i korzystał z jego kierownictwa.

Pociągała go zapewne i filozoficzna natura spowiednika, imponował jego intelekt. Stąd zbieżności w traktowaniu omal w jednym i tym samym czasie tematów: o modlitwie, o stolikach wirujących, o sumieniu narodowym.

Zdaniem moim należałoby więcej zwrócić uwagi, czy i jakie są echa z filozofii ks. Semeneńki na filozofię Norwida.

To nie znaczy, by ten stosunek układał się zawsze równo, by nie było starć i przelotnych zachmurzeń. Norwid nie był w pożyciu łatwy. Dusza jego była bardzo bogata, ale i bardzo rogata.

Inny list z kwietnia 1852 brzmi tajemniczo i dramatycznie:

> Adres: „A Monsieur l'Abbe Semeneńko, Paris, St. Honoré
>
> ...O. Piotr uwiadomił mię, iż dziś po południu odpowiedź na zapytanie me otrzymam. — Że to od trzech dni raczył mi Oyciec wzmiankować a ja ani mam prawo, ani mogę (wedle tego, co sam o czasie rozumiem), zakreślać konwencjonalnie tej lub owej godziny odpowiedzi. Kiedy więc kolwiek się podoba, odpowiedź ta zarówno wagę dla mnie sumienną mieć może.“

Trudno się domyślić o co chodziło. Zapewne o coś ważnego, skoro trzeba było dni parę na przemyślenie i sformułowanie odpowiedzi. Ton listu jest oschły i pozbawiony akcentów uczuciowych.

Zapewne w tej fazie, nabrzmiałej wewnętrznymi kon-

---

*) Słowo nieczytelne.

fliktami, a może i konfliktem z kierownikiem sumienia, synowski stosunek Norwida do Kościoła uległ chwilowemu zaciemnieniu. Przypominamy szorstką uwagę Norwida o Kościele w liście do A. Cieszkowskiego, właśnie z r. 1850. Rozumiemy ją. Dusza była w walce, zalewała ją gorycz...

Listy do ks. H Kajsiewicza mają odmienną barwę. Ks. Kajsiewicz, który również próbował swego czasu sił poetyckich, przyjmuje od Norwida zwierzenia literackie. Jemu przecież Norwid dedykuje „Psalm wigilijny" (1849):

> „Mam zamiar przesłać Szanownemu Oycu Dobr.: niewielki szpargulik, którego mimo łaskawie ofiarujących mi się, nie wiem komu powierzyć...
> Potrzebuję wszakże pierwej wiedzieć, czy Oyciec Dobr. będziesz miał dosyć czasu do przeczytania uważnego i czy zechcesz sobie tylko zanotować a zeszyt napowrót mi odesłać, jeśli Oyciec w opiekę nie weźmiesz.
> Nie jestem wcale zrażony tym, iż nie dość wielkiej liczbie umiem się dać zrozumieć, bo i rozumiejący są też także..." (List IV. 1850)

I z tegoż miesiąca, z 26 kwietnia list inny:

> „Daruj, Oycze Kochany, że to prawdziwe zaufanie, z jakim mimo, żeś mi raz odesłał pismo moje — Tobie, a **nie komu z łatwiejszych**, których znam! wiadomy rapsod byłem przesłał — daruj, że to prawdziwe zaufanie poprę jeszcze słowem serca mego..."

I mimo zapewnień uprzednich, że poetę nie zraża mała liczba rozumiejących, z zawiedzionego serca płynie ból i skarga.

> „Oycze — mówię Ci — czego nikomu nie mówiłem — zacności Twojej polecam się, prawie kapłaństwu Twemu.. Bóg widzi, że tyle lat trawi mnie i pęta(?) to (że) — **nikt pomóc nie chce!** (:a dla siebie nie chcę iść:), ale oni dla mnie chcą dobrze robić — a ja nie mogę — pomóżcie mi wydać sześć z kolei zeszytów! polecam sumieniu Twemu Szanowny Oycze, że spalisz lit teraz C. K. Norwid".

A więc obok konfliktu serca i sumienia narasta też konflikt zawodu, odrzucenia od kulturalnej elity narodowej, konflikt poczucia własnych sił, a marnowania ich przez lekceważenie rodaków.

Te bolesne listy zawiedzionego poety są współczesne z listami o wewnętrznym konflikcie do ks. Semeneńki. Ks. Kajsiewicz nie przerastał ludzi swej epoki. Norwid nie zjednał go dla swojej twórczości. Ks. Kajsiewicz widać należał do tych przyjaciół, co go chcieli przekonać, „by się jaśniej i zrozumialej tłumaczył."

W duszy poety utkwił uraz. Korespondencja z duchowym i literackim powiernikiem urwała się. Brak też wzmianek (poza dwoma w epistolariuszu poety), a wzmianka do kuzyna M. Kleczkowskiego z dnia 6 maja 1858, mimo upływu sześciu lat, brzmi szorstko:

„Ks. Kajsiewicz jest w Rzymie, adres jego: kościół San Claudio, via San Claudio — ja oprócz ołtarza i konfesjonału, **nic także z księżmi nie mam.**"

Jest to jakby bolesny refleks urazy, że ks. Kajsiewicz nie docenił go, a właściwie ocenił niekorzystnie w ciężkim roku 1852.

W tym t o bolesnym roku „kołtun duszy" — jak się wyraża Norwid — „tragicznie dojrzał."

Poeta postanawia zerwać ze wszystkim: z przeszłością i teraźniejszością, ze społeczeństwem, a nawet z Europą. Rzuca się w odmęt awantury. Bez grosza, bez planów, rusza do Stanów Zjednoczonych. Po prostu szuka zapomnienia. Zawiodła miłość, której wspomnienie trzeba było wypalić; zawiodła twórszość, bo społeczeństwo, nawet przyjaciele, krytycznie lub obojętnie na nią zareagowali i nie szczędzili pouczeń o potrzebie jasności w wyrażaniu myśli i w formie. Zawiodła i sztuka: „Z 50 obrazów — pisze z goryczą do J. B. Zaleskiego Norwid (26 marca 1852) — przyjęto 5... Upadłem o głos jeden — trzeba 8!..."

Spośród tych przyjaciół w gronie Zmartwychwstańców znalazł się jeden, do którego poeta zwraca się najczęściej z przywiązaniem i czcią. Był nim o. Al. Jełowicki. Ten porywczy, szorstki, popędliwy ksiądz miał złote serce. Musiał też mieć więcej literackiego wyczucia. Wszak przed wstąpieniem do Zmartwychwstańców patronował Mickiewiczowi i Słowackiemu, których utwory wydawał. W r. 1852 — jak świadczy notatka prof. S. P. Cywińskiego — czynił zabiegi o drukowanie „Litanii do Najświętszej Panny". Poeta jemu też właśnie ten utwór dedykował.

Pośrednictwo nie udało się. Wiersz przeleżał w „Przeglądzie Poznańskim" u Jana Koźmiana lat 10, aż go ks. Prusinowski w swoim „Tygodniku Katolickim" (w nr. 30, dn. 2 lutego 1869) wydrukował. Czy może i tu interweniował ks. Jełowicki?

W korespondencji Zmartwychwstańców z Norwidem znajduje się nieznany a ciekawy list Norwida do Jana Koźmiana. Widocznie ten przesłał go Zmartwychwstańcom, by zapoznać ich z wewnętrznym stanem poety, a może, by się wytłumaczyć, dlaczego utwory Norwida drukować mu trudno.

List bez daty. Gorycz, jaka z niego bije, wskazywałaby na rok 1852:

> „Piszę tylko, żeby Wam oczy otworzyć. „Córki Jerozolimskie — nie płaczcie nade mną, ale płaczcie nad sobą samymi". Czytałem — piszecie o tem czego się po mnie społeczeństwo polskie spodziewało; wolnoż mi będzie też powiedzieć, czego ja się po tem społeczeństwie spodziewałem? Powiadam Wam — że żadna specjalność, żadna się idea nie rozwinie tam, gdzie tylko dwa pola są otwarte — tu wolałbym przemilczeć jakie pola? bo to na sarkazm wyglądać może, — lecz tak jest — temu potrzeba tylko służących i ekonomów... Na język mój się nie skarżcie — nie od dziś po polsku mówię — jeśli nie lepiej to tak, jak Wy wszyscy znam go. Na brak formy, w krótkowidzeniu Waszem nie użalajcie się, ale na brak społeczeństwa!
> Lepiej mnie być nie jasnym, bo gorzka by była jasność moja — bo gdybym odpiął frak mój i tego lisa, co mi wnętrzności rozdziera od lat tylu — pokazał — jasno by było, ale gorzko.
> Inni będą więcej udarowani i jaśniej Wam się wytłumaczą.
> Nie oczyma fantazji, po kilka razy na rok głód kilkodniowy w drzwiach mych widzę
> Mamże być jasnym?
> ...Proszę dramatu nie drukować — pracę rozrzucić — inną napiszę czasu swego. Zygmunt (Krasiński) powiada, że po Słowackim ja mam największą siłę rymu — nie tu mi się cytować. Krytykom moim życzę tyle lat szczęścia, ile dni ja w życiu głód cierpiałem z uśmiechem i cierpieć będę, — idę dalej."

Ze słów tych jak z rany — bucha krew. W bólu tym jest tajemnicza zapowiedź: „Idę dalej." Czy to zamiar emigracji do Ameryki?

Na wyjezdnym, już po latach, bo w r. 1855, w liście do J. B. Zaleskiego (I, 122, str. 175) wysuwa się znów sylwetka Zmartwychwstańca:

> ..."Wyjeżdżając do Ameryki, Pan hr. Zamoyski przez **ks. Kaczanowskiego** powiedział mi, że nie tylko miejsce, ale i dwadzieścia franków do miejsca przywiązane dostać mogę.Przyjąłem miejsce, pieniędzy odmówiłem z wielu powodów, a mianowicie, że p. Zamoyski znał mnie kiedyś i bywał u mnie."

Do ks. Kaczanowskiego znamy cztery listy i parę o nim miłych wzmianek. Ten wiarus, były kapitan artylerii z 1831 roku, później zakonnik i ksiądz, nie badał zawiłości stylu poety. Stosunek, zdaje się, ułożył się między nimi — jak między duszpasterzem a parafianinem. Uczestnictwo w dobrych uczynkach i formalne sprawy parafialne, jak ślub i dyspensy, wchodziły w zakres tego stosunku. A poza tym miłość do Papieża Piusa IX.

> „Pytał mnie raz Oyciec Kaczanowski, komu zostawię i co zrobię z Oyca Świętego błogosławieństwem? — Oto uchowa mi ono serca resztę." (List bezimienny, jesień 1861).

(Ciąg dalszy w nr. 11 ŻYCIA)

Dialog
racjonalisty i dominikanina

TADEUSZ FELSZTYN

W łonie Newman Association, stowarzyszenia angielskich katolików z wyższym wykształceniem, istnieje grupa, która nosi nazwę Philosophy of Science Group. Jest ona związana z Newman Association w sposób dość luźny. Członkami jej są zarówno członkowie Newman Association, jak i osoby nie należące do tego stowarzyszenia. Fundusze swe czerpie głównie z kasy Newman Association, choć częściowo i z opłat członków grupy. Dopiero w tym roku członkowie Newman Association zostali zwolnieni z tych opłat. W pracy swej jest grupa ta zupełnie samodzielna i niezależna, cieszy się jednak powszechnym poparciem wszystkich szczebli organizacyjnych Newman Association.

Powstanie swe zawdzięcza Philosophy of Science Group właściwie jednej tylko osobie, młodemu angielskiemu fizykowi atomowemu, dr. Peter E. Hodgson. W lecie 1953 roku rozesłał on, za pośrednictwem cyrkularzy Newman Association, wezwanie do zapisywania się do mającej się utworzyć grupy, określając jej zadania w kilku zwięzłych zdaniach. Celem jej miało być stworzenie terenu dla dyskutowania tych problemów, które wyłaniają się na skutek rozwoju nauk przyrodniczych, a w szczególności tych, które mają wpływ, lub przynajmniej wydają się mieć wpływ, na doktrynę katolicką, na teologię lub wreszcie na filozofię.

Odzew był bardzo żywy. Już w jesieni 1953 roku grupa liczyła 50 członków; w połowie 1958 r. miała ich ponad 700, nie licząc członków korespondentów w Australii (stu!), Indiach, Kanadzie i w Stanach Zjednoczonych. W Anglii istnieją ponadto lokalne koła, które odbywają regularne zebrania dyskusyjne.

Organem grupy jest jej Biuletyn, którego 35 numer ukazał się w sierpniu br. Zawiera artykuły, dyskusje, omówienia książek. Cechuje go zupełna swoboda wypowiedzi, choć wszyscy piszący stoją bez wyjątku na gruncie katolickim. Ich poglądy jednak na poszczególne zagadnienia naukowe i związane z nimi problemy filozoficzne i teologiczne są bardzo rozbieżne, bywają nieraz nawet skrajne. I ta właśnie swoboda wypowiedzi i ścieranie się poglądów stanowią o dużej wartości i popularności Biuletynu.

Drugą formą pracy grupy są zebrania dyskusyjne, tzw. „Conferences", które odbywają się corocznie w klasztorze dominikanów w Spode House w pobliżu Rugely (Stafford). Było ich już sześć. Każde takie zebranie poświęcone jest kilku związanym ze sobą zasadniczym zagadnieniom, które omawia się w postaci referatów i dyskusji. Ścieranie się poglądów bywa nieraz bardzo ostre. Dyskusje są zażarte, stanowiska często silnie przeciwstawne, poglądy nieraz bardzo śmiałe i nawet mocno ryzykowne. Może sprawia to i domikański genius loci. Mimo jednak nader zawziętych sporów, które i po zebraniu toczą się nadal w małych prywatnych grupkach nieraz do późnej nocy, odbywają się one z dużym poszanowaniem cudzych poglądów i z typowo angielską uprzejmością. Referaty wygłaszają z reguły wysokiej klasy specjaliści w danych dziedzinach nauki, zarówno więc referaty, jak i dyskusje mają wysoki poziom naukowy i wykazują dobrą znajomość filozofii i teologii u ludzi, którzy biorą w nich udział.

Ilość osób, które zabierały głos w Biuletynie oraz w czasie dyskusji na konferencjach, dochodzi już do setki. Trudno więc wymieniać wszystkie nazwiska. Chciałbym tylko podkreślić dwa: o.J.L.Russell, S.J., i o.L.Bright, O.P., którzy są, obok dr. Hodgsona, najczynniejszymi członkami grupy i najczęściej zabierają głos zarówno w czasie odbywanych konferencji, jak i na łamach Biuletynu.

Redaktorem Biuletynu był początkowo (faktycznie) dr Hodgson, choć pomagali mu w tym inni członkowie grupy. Od 29 numeru począwszy redakcję przejął o. L. Bright.

Jak już wspomniałem, wszyscy piszący na łamach Biuletynu stali stanowczo na gruncie katolickim. Pierwszy wyłom w tej zasadzie stanowi jego nr 34, w którym o. L. Bright oddał głos dr. E. Roux, wykładowcy botaniki na uniwersytecie w Witswatersrand, w Transwalu, przewodniczącemu stowarzyszenia racjonalistów w tej miejscowości. Celem tej innowacji było „odkryć, jak nasze poglądy wyglądają w oczach tych, którzy z nimi się nie zgadzają — pisze redaktor — i, być może, zbadać je raz jeszcze w świetle krytyki, której dotąd nie uświadamialiśmy sobie."

Dr Roux zajmuje się w swym artykule zagadnieniem stosunku katolików do problemu ewolucji. Opiera się głównie na broszurze wydanej przez Catholic Truth Society pt. „Evolution", napisanej przez prof. Louis Renouf. Kwestionując pewne poglądy tej broszury, przyznaje jednak, że istotnie, Kościół bynajmniej nie zabrania „biologom, którzy przypadkowo są katolikami", wierzyć w ewolucję. Twierdzi jednak, że mimo to, stanowisko Kościoła ogranicza swobodę naukową swych wyznawców. „Gdyby Kościół — pisze dr Roux — po prostu powiedział: 'pierwotne cząstki materii-energii (czymkolwiek one były) zostały stworzone przez Boga i że potem chemiczna i biochemiczna ewolucja odbywała się, jak to Stwórca przewidział, w rezultacie własności, jakie posiada materia i energia, nie byłoby żadnych ograniczeń ideologicznych dla katolickich biologów." Wtedy jednak — twierdzi dalej p. Roux — przestaliby oni być katolikami, a staliby się mglistymi teistami. Kościół bowiem głosi, że Bóg działa w świecie zarówno przez przyczyny wtórne (tj. prawa przyrody), jak i przez bezpośrednią ingerencję, tj. cuda, co wydaje się autorowi artykułu nieco dziwne.

Po tym wstępie, resztę artykułu poświęca dr Roux problemowi stworzenia człowieka. „Biologowie — twierdzi — wysunęli bardzo rozsądną hipotezę, że umysłowe i duchowe czynności człowieka (to, co niektórzy filozowie nazywają przejawami „umysłu" i „duszy") są wynikiem pracy systemu nerwowego, który choć bardziej złożony niż u zwierząt niższych, zasadniczo odmienny nie jest." (Jest to, jak widzimy, teza zwana epifenomenalizmem). Powołując się na Darwina i Pawłowa oraz na doświadczenia nad psami i małpami, dr Roux utrzymuje dalej, bez żadnego uzasadnienia, że „nie ma nie dających się pokonać trudności w przypuszczeniu, że nie było żadnej nieciągłości w ewolucji wyższych zdolności człowieka."

Następnie przechodzi do problemu ewolucji ciała człowieka. „Jest rzeczą niemożliwą — pisze — postawić granicę między wykopaliskami i powiedzieć 'tu zaczyna się człowiek, a przed tym był to nie-człowiek" (co nawiasem mówiąc, nie jest całkowicie słuszne, skoro cechą odróżniającą wykopaliska ludzkie od małpoludów są narzędzia, którymi się ten osobnik posługiwał). Twierdzi również, że „luka między australopitekiem a człowiekiem wypełnia się szybko" (co też nie jest zupełnie zgodne z faktami) i że — wobec tego — „pogląd biblijny o pierwszym mężczyźnie i pierwszej kobiecie jest, z punktu widzenia biologii, nonsensem", skoro „nowe rodzaje powstają zwykle przez nagromadzenie się mutacji w rozszerzających się zalud-

nieniach i nie ma żadnego powodu, aby sądzić, że odbyło się to inaczej w wypadku człowieka."

Dr Roux przyznaje, że katoliccy biologowie bez przeszkody mogą wygłaszać przypuszczenie, że życie na ziemi powstało na skutek ewolucji materii martwej, bez specjalnej interwencji Bożej (co w przypisku do artykułu potwierdza dr Hodgson, pisząc: „Nie widzę żadnego powodu, dlaczego katolik nie mógłby wierzyć, tak jak ja w to wierzę, że organizmy żyjące mogły się rozwinąć i w rzeczywistości się rozwinęły z materii martwej bez specjalnej interwencji Bożej"). Nie rozumie więc dlaczego, skoro katolicy mogą połknąć tego wielbłąda, wstrzymują się przed połknięciem komara, jakim — wedle niego — jest hipoteza, że i człowiek powstał bez specjalnego aktu Bożego. Jak widać, dla dr. Roux człowiek nie różni się od zwierzęcia niczym innym, jak tylko większym mózgiem. Odrębne stanowisko człowieka w przyrodzie, jako istoty obdarzonej duszą nieśmiertelną, zdaje się w ogóle nie dochodzić do jego świadomości. Do sprawy tej wrócimy w dalszej części artykułu.

Ostatnia część oskarżenia dr. Roux poświęcona jest problemowi duszy. Powołując się na tezę pozytywizmu, że myśl nie jest niczym innym, jak tylko objawem działania organizmu (mózgu), twierdzi, że hipoteza duszy jest zupełnie zbędna. Nie tylko że, jego zdaniem, nie wnosi ona niczego nowego, a więc jej wprowadzenie jest sprzeczne z logiczną zasadą zwaną „brzytwą Occama" i zalecającą, by niepotrzebnie nie mnożyć hipotez, ale ponadto jest powodem wielu trudności przy wyjaśnianiu, jakie jest współdziałanie duszy i mózgu. Ponadto — pisze dr Roux — nowoczesne postępy encefalografii i cybernetyki mówią nam coraz więcej o mechanizmie pracy mózgu ludzkiego. Prędzej więc czy później teologowie katoliccy będą musieli zrezygnować z tezy o „duszy ludzkiej", podobnie jak zrezygnowali już z wielu tez, które dawniej głosili, jak np. z centralnego położenia ziemi. Tu oczywiście autor nie może się powstrzymać od przytoczenia przykładu Galileusza, jako dowodu, że „dogmatyzm ktolicki" prześladuje naukę.

Oskarżenie katolicyzmu przez dr. Roux przytoczyłem w bardzo obszernym streszczeniu, gdyż jest ono niezmiernie charakterystyczne dla postawy pozytywistów w stosunku do nauk Kościoła. Zanim jednak przejdę do jego omówienia, chcę podać również, w nieco może mniej obszernym skrócie (są to przeważnie rzeczy znane każdemu myślącemu katolikowi) odpowiedź o. L. Brighta w tym samym numerze Biuletynu.

O. Bright zaczyna od wyjaśnień dotyczących nieporozumienia, częstego zresztą i wśród katolików, że „imprimatur" na wstępie książki nie znaczy bynajmniej, by była to oficjalna wypowiedź Kościoła. Oznacza ono tylko, że książka nie zawiera niczego, co by było sprzeczne z doktryną Kościoła. Poza tym jednak cenzura kościelna nie krępuje niczym swobody poglądów autora i nie jest oceną słuszności, czy też niesłuszności jego tez. Innymi słowy — pisze o. Bright — „'imprimatur' znaczy tylko, że książka nie zawiera herezji, ale to nie znaczy, że nie ma w niej nonsensów."

Po tym wstępie o. Bright przytacza tytuły innych książek katolickich, które ujmują problem ewolucji, jak biskupa Hedleya „Evolution and Faith", opublikowana po raz pierwszy w Dublin Review w 1871 roku, kanonika Dorlodot „Darwinism and Catholic Thought" (1921), J.A.O'Brien „Evolution and Religion", E.C.Messengera „Evolution and Theology" (1932). Z nowszych wymienia m.in. Filipa G.Fothergill'a „Life and its Origin" (wydawnictwo Philosophy of Science Group) i zapowiedzianą przez tego autora książkę „Evolution and Christianity" oraz będące w druku angielskie tłumaczenie książki „Faith and Fact" Rémy Collina. (Należałoby tu jeszcze dodać nie wymienioną przez o. Brighta zbiorową książkę „God, Man, and the Universe", wydaną przez Burns and Oats, która aż trzy rozdziały poświęca zagadnieniom związanym z ewolucją).

Większość pisarzy katolickich, podobnie jak i on sam — pisze o. Bright — przyjmuje teorię ewolucji, trudno jednak oczekiwać, aby Kościół potwierdził ją w oficjalnej wypowiedzi, podobnie jak np. nikt nie oczekuje od Kościoła, aby „potwierdził" te, czy tamte teorie atomowe. W swych oficjalnych wypowiedziach — przypomina o. Bright — Kościół zajmuje się jedynie tym, co zostało objawione dla naszego zbawienia. Trudno więc oczekiwać, aby Kościół mógł do tego włączyć wypowiedzi ściśle naukowe.

Druga część artykułu o. Brighta poświęcona jest zagadnieniu przyczynowości. Traktuje je zresztą pobieżnie, gdyż Biuletyn już wielokrotnie omawiał to zagadnienie, poświęcając mu bardzo wiele miejsca. Wychodząc z założeń tomistycznych, wyjaśnia o. Bright, że pojęcie „stworzenia" nie oznacza tylko jednorazowego aktu Boga, ale całkowitą zależność bytu stworzonego od Boga. Każdy Boski akt tworzenia przekracza (transcends) czas i przestrzeń. Nie można więc, mówiąc o wprowadzeniu i utrzymywaniu przy istnieniu nowego bytu w czasie i przestrzeni, określać aktu stworzenia słowami „poza", czy „przed tym". „Poszczególne cechy każdego bytu zależą od przyczyn naturalnych, które są właśnie istotą tych cech; ale te cechy, w każdym ich szczególe, w ich przyczynach i skutkach, wszystkie one zależą całkowicie od sprawczej, stwórczej przyczyny Bożej."... „Nie możemy obserwować tej całkowitej zależności natury rzeczy od Boga, gdyż możemy obserwować jedynie różnice, a tym samym przyczynowość Boża nie przeszkadza działaniu innych przyczyn, ani też nie jest widoczną przyczyną takich czy innych cech." „Wierzymy również w cuda, a gdy one zachodzą, rozum nam mówi, że zależą one od przyczynowości Bożej w ten sam sposób, jak wszystkie inne, z tą tylko różnicą, że nie mają stworzonej przyczyny. Być może nawet jest rzeczą niewłaściwą mówić w tym wypadku o 'interwencji Bożej', jest to jednak zwykła forma wyrażania się, tak jak np. naukowo przecież nieścisłe a powszechne mówienie o 'wschodzie słońca'".

Ostatnią część swej odpowiedzi poświęca o. Bright zagadnieniu duszy. „Katolicy wierzą w to, że dusza jest bezpośrednim Bożym aktem stworzenia, a większość z nich sądzi, że natura ludzkiej duszy wyklucza, aby mogła ona mieć przyczynę stworzoną. Różnimy się jednk co do tego, czym jest ta dusza. Wielu z katolików stoi na stanowisku Kartezjusza, że dusza jest jakąś substancją duchową złączoną z materialnym ciałem." O. Bright zgadza się, że tego rodzaju pojęcie duszy może podlegać krytyce podobnej do tej, jaką wysuwa dr Roux.

Do zagadnienia duszy ludzkiej należy jednak podchodzić nie przy pomocy opisu fizycznego, ale na planie filozoficznym. Należy zauważyć, że przy opisie każdej rzeczy posługujemy się kilku płaszczyznami opisu, nawet jeśli mówimy o urządzeniach czysto mechanicznych. Opis jakiejś maszyny byłby niezupełny, choćbyśmy szczegółowo wymienili wszystkie jej części i ich wzajemne współdziałanie, dopóki nie powiemy, jaki jest cel tej maszyny, czy to jest np. zegar, czy też młynek do kawy. Podobnie nie możemy w pełni opisać zwierzęcia przy pomocy tylko fizjologii., tak jak fizjologia nigdy nie da się całkowicie sprowadzić do fizyki i chemii. Przy opisie zachowania się zwierzęcia musimy używać języka, właściwego temu poziomowi, tej płaszczyźnie opisu. Obie te płaszczyzny opisu są ze sobą oczywiście związane, tak jak mapa i fotografia z krajobrazem, nie są jednak identyczne.

Skąd więc wiemy, że mózg nie jest tylko bardzo złożoną maszyną? Sama fizjologia na to nie wystarczy. Najbardziej nawet złożony opis fizjologiczny nie wyjaśni faktu, że człowiek postrzega, dopóki badana osoba nie potwierdzi w zwykłym języku, że na-

prawdę coś postrzega. Bez tego nie będziemy wiedzieli, co właściwie fizjolog opisuje.

Przy opisie żywych stworzeń musimy więc używać języka dostosowanego do tego opisu, pojęć, które traktują żywą istotę jako organizm, a nie tylko jako zbiór części. Jest to więc język inny niż język fizjologii. Aby wyjaśnić działanie organizmu, tj. zorganizowanej całości, najlepiej posługiwać się językiem filozofii, a w szczególności filozofii Arystotelesa, która określa zasadę, formę, „morphe", zwierzęcia przy pomocy słowa „dusza". Nie jest to jakaś odrębna substancja, jakaś witalistyczna „siła życiowa", ale po prostu inna nazwa zasady działania organizmu zwierzęcego, jako zorganizowanej całości. Z chwilą, gdy zwierzę zdycha, jego ciało przestaje już być organizmem, i przekształca się w zbiór niezorganizowanych części. Dusza zwierzęcia ginie więc wraz z nim.

Z człowiekiem jest inaczej... „Zachowanie się zwierząt można jedynie opisać; jedynie człowiek jest tym, który opisuje. Jest to więc nowy czynnik w duszy ludzkiej, która objawia się zarówno w poznawaniu i miłości innych rzeczy, jak i w chodzeniu, jedzeniu i widzeniu." Ta możność opisu innych rzeczy jest możliwa tylko wtedy, jeśli ludzka dusza przekracza (transcendents) to co opisuje. Właśnie dlatego, że ludzka dusza przekracza to, co poznaje i czego pożąda, może ona poznawać (przynajmniej rzeczy materialne) i pożądać bez granic, nie będąc ograniczoną jak dusza zwierzęcia do poznawania i pożądania jedynie tego, co jest stosowne dla jego natury.

Właśnie dlatego dusza ludzka, związana z czynnościami ciała, równocześnie przekracza je, a tym samym można powiedzieć, że żyje własnym życiem. Nie znaczy to jednak, aby ciało ludzkie, ciało człowieka żyjącego, mogło istnieć bez duszy. W swych czynnościach życiowych człowiek jest jedną substancją, a nie połączeniem dwu substancji. Ale swe specyficzne ludzkie cechy zawdzięcza swej duszy, „która może istnieć sama w sobie, ale działa w taki sposób, że jej czynności nie możemy rozumieć niezależnie od człowieka jako całości."

To arystotelesowe pojęcie „duszy" jako zasady działania organizmu zwierzęcego wyjaśnia nam, że w odpowiednim momencie ewolucji, trudnym do określenia, następuje zmiana jednej „duszy" na inną, odpowiadającą nowemu rodzajowi, „choć zewnętrzne cechy, jak to zwykle dzieje się we wszystkich zmianach naturalnych, nie wykazują żadnej nieciągłości. I tego samego musimy się spodziewać i w wypadku pierwszych ludzi. Dane paleontologiczne nie powinny wykazywać żadnej różnicy; w zewnętrznym swym wyglądzie Adam i Ewa prawdopodobnie byli zupełnie podobni do swych krewnych. Ale że byli ludźmi, więc mowa i zachowanie się zgodnie z zasadami moralności stało się możliwe — i to jest właśnie to, czego nas uczy Księga Rodzaju. Jednak cechy mowy i zachowania się moralnego prowadzą do wniosku, że są one wynikiem jakiejś innej zasady organizacyjnej, która istnieje sama przez się, zasady, przekraczającej materialne warunki, w jakich jedynie może działać. Ta dusza nie może więc być wynikiem naturalnych przyczyn, lecz musi być wynikiem Bożej przyczynowości. Zgadzam się — pisze o. Bright — że nie jest to zwykła droga, po jakiej szły zmiany ewolucyjne, ale twierdzę, że fakty mowy i moralnego zachowania się człowieka zmuszają nas do postulowania jakiegoś wyjątku od reguły."

Na zakończenie swego artykułu prostuje o. Bright twierdzenie dr. Roux, jakoby Kościół „cofał się" w swym stanowisku przed postępami nauki. „To, co powiedziałem o duszy — pisze o. Bright — powiedział już ...średniowieczny teolog, św. Tomasz z Akwinu. Podobnie jak i inni jego współcześni przyjmował on możliwość powstawania istot żyjących z martwej przyrody na drodze przyrodzonej." I nie stanowiło to żadnej teologicznej trudności dla tych, którzy w to wierzyli.

Jak widać, o. Bright przyjmuje w swej odpowiedzi (podobnie zresztą, jak i w wypowiedziach w następnym numerze Biuletynu, których tu nie będę już streszczał) stanowisko całkowicie defensywne. Wyjaśnia swemu oponentowi, niby nauczyciel uczniowi w szkole, jakie są mianowicie poglądy katolickie na te problemy, którymi dr Roux usiłuje zaatakować naukę Kościoła, i wykazuje mu, że widziane przez niego sprzeczności są tylko sprzecznościami pozornymi.

Sądzę jednak, że jest i inna strona artykułu dr. Roux, która wymaga omówienia. Mam tu na myśli jego postawę naukową, typową postawę pozytywizmu.

Jego klimat duchowy wyjawia się już na wstępie artykułu. Oburzony, ze znalazł się ktoś (w danym wypadku dominikanin E.G.O'Toole), kto ośmiela się odrzucać hipotezę ewolucjonizmu, dodaje: „Mam nadzieję, że nie jest on biologiem." Jakże podobna jest jego postawa do tak dziś przecież przez pozytywistów słusznie potępianego oburzenia współczesnych Galileuszowi uczonych, gdy wszedł on z nimi w kolizję, odkrywszy księżyce Jowisza, rzecz, którą współczesna Galileuszowi astronomia uważała za „naukowo niemożliwą".

Nie poznając oczywiście siebie w zwierciadle współczesnych Galileuszowi astronomów, przytacza dr Roux tradycyjnie przykład Galileusza jako dowód, że „dogmatyzm Kościoła hamuje rozwój nauki". Dr Roux jest znanym biologiem, na pewno jednak nie zna historii nauki. Gdyby ją znał, lub gdyby był przeczytał kilka poważnych prac na ten temat, jak np. Koestlera „Sleepwalkers" lub Giorgio de Santillany'ego „The Crime of Galileo", nie byłby powtarzał wszystkich propagandowych niedorzeczności na temat Galileusza. Byłby bowiem wiedział, że — wedle słów Santillany'ego — „większa część intelektualistów w łonie Kościoła była po stronie Galileusza, a najsilniejsza opozycja przeciw niemu pochodziła ze sfer świeckich. Można udowodnić, ...że tragedia ta (potępienie Galileusza) była wynikiem spisku, którego ofiarą była hierarchia kościelna w tym samym co najmniej stopniu, co i Galileusz. Intryga była zaaranżowana przez grupkę ciemnych charakterów, w dziwnym porozumieniu między sobą, którzy nie cofnęli się nawet przed umieszczeniem fałszywych dokumentów w aktach procesu i którzy później fałszywie poinformowali Papieża i przedstawili mu sfałszowany przebieg procesu dla uzyskania jego decyzji."

Zagadnienie ewolucji stanowi główną kanwę ataku dr. Roux na Kościół. Zwolennicy tej hipotezy używają słowa „ewolucja" co najmniej w trojakim znaczeniu. Pierwszym z nich jest ewolucja biologiczna, transformizm, a więc hipoteza, że wszystkie istoty obecnie żyjące są potomstwem dawniejszych, bardziej prymitywnych form życia. Wielu jednak biologów pod słowem „ewolucja" rozumie nie tylko sam fakt transformizmu, ale i jego mechanizm, przeważnie dobór naturalny. Wielu z nich ponadto uogólnia ten termin i mówi, jak np. dr Roux, o „ewolucji chemicznej i biochemicznej", jak Sir Gavin de Beer o „ewolucji jako podstawowej technice tworzenia w przyrodzie" (The Listener, 3.7., 1.9.1958). Inni mówią o „ewolucji społecznej", „ewolucji religii" itp.

Hipoteza ewolucji w pierwszym pojęciu tego słowa, transformizmu, jest na ogół powszechnie przyjęta, co — nawiasem mówiąc — nie koniecznie musi być dowodem, że jest to hipoteza prawdziwa. W drugim jednak znaczeniu tego słowa dobór naturalny nie jest bynajmniej powszechnie przyjęty przez biologów. I tak np. Ronald Good zastępuje dobór naturalny przez hipotezę „ortogenezy", tj. hipotezę, że „ewolucja organizmów biegnie systematycznie w pewnym kierunku, a nie przypadkowo w wielu kierunkach" (The Listener, 21.11.1957), a wybitny biolog angielski H. Graham Cannon, w książce „The Evolution of Living

Things", głosi tezę, że istnieje w organizmie żywym „jakaś siła, która rządzi i kieruje ewolucją nie przez przypadkowe zmiany, ale przez wybrane modyfikacje."

Jeśli wreszcie chodzi o trzecie, uogólnione znaczenie ewolucji, to słuszność jego należy sprawdzać w każdym poszczególnym wypadku z osobna. W bardzo wielu bowiem wypadkach podstawą tej hipotezy są nie fakty, ale „wishfull thinking", mające swe korzenie w takich czy innych założeniach filozoficznych. Weźmy jako przykład powstanie życia na ziemi. Dr Roux przyjmuje jako niezbity fakt, że powstało ono w drodze ewolucji materii martwej. Faktycznie jednak, jak to słusznie analizuje dr Phillip G. Fothergill we wspomnianej książce „Life and its Origin", wszystkie dotychczasowe teorie o powstaniu życia na ziemi „są czystymi spekulacjami, opartymi na wielkiej ilości dowolnych założeń, a do tego, można by dodać, mogą nam w najlepszym wypadku tylko powiedzieć, jak życie mogło powstać na ziemi, w żadnym jednak wypadku nie mówią nam o tym, jak naprawdę powstało.

Zupełną rację ma dr Hodgson w przytoczonym poprzednio twierdzeniu, że nie ma przyczyny, dlaczego katolik by nie mógł wierzyć w powstanie życia na ziemi w drodze naturalnej, a nie nadprzyrodzonej (choć słowo „wierzyć" jest tu nieco niefortunne: w nauce wiemy lub zakładamy hipotezy, nigdy jednak nie „wierzymy"). Nie ma jednak również i powodu, dlaczego by miał wierzyć. Przy obecnej naszej znajomości faktów z tego zakresu, najsłuszniejszym stanowiskiem, jak mi się wydaje jest powiedzenie chłopa z Normandii: „P't-être ben qu' oui, p't-être ben qu'non."

I tu okazuje się zasadnicza różnica między biologiem katolikiem a pozytywistą. Dla katolika obie możliwości powstania życia na ziemi, w drodze naturalnej ewolucji z materii martwej i w drodze nadprzyrodzonej, są równie możliwe. Dla pozytywisty ta druga możliwość jest nie do przyjęcia, przeczy bowiem jego zasadniczym założeniom filozoficznym. Który z nich dwóch jest więc bardziej bezstronny?

Tę samą dogmatyczną jednostronność widać wyraźnie gdy dr Roux chciałby, aby Kościół ogłosił, że „chemiczna i biochemiczna ewolucja odbywały się (samorzutnie) w rezultacie własności, jakie posiada materia i energia." Tu nieświadomość spłatała dr. Roux figla, wyłoniła bowiem na wierzch podstawowy jego dogmat, dogmat pozytywizmu. Całe bowiem to twierdzenie o samorzutnej ewolucji przyrody, od atomu wodoru do człowieka, nie jest bynajmniej oparte na faktach, a jest jedynie wynikiem założeń filozoficznych pozytywizmu. Nie ma oczywiście powodu, aby katolik nie mógł tej hipotezy o samorzutnej ewolucji przyjąć, nie ma jednak też powodu, dlaczego by miał ją przyjąć. Jedynie naukowym stanowiskiem będzie, to „wait and see" co nam przyniesie dalszy rozwój nauki, oczywiście w postaci faktów, a nie tylko jałowego przelewania jednych dowolnych hipotez w drugie.

W miarę czytania artykułu dr. Roux jego dogmatyczna apodyktyczność staje się coraz bardziej widoczna. Jego hipoteza epifenomenalizmu, tj. hipoteza, że myśl ludzka daje się całkowicie sprowadzić do działalności fizyko-chemicznej mózgu, nie znajduje uznania zarówno u wielu biologów (i tak np. słynny specjalista mózgu, Sherrington, ją stanowczo odrzucał), jak i psychologów (np. Jung). Co więcej, Jung w napisanej wspólnie z Paulim, słynnym fizykiem, książce pt. „The Interpretation of Nature and Psyche" wykazuje, że jest ona sprzeczna z podstawowymi faktami z zakresu psychologii i parapsychologii (postrzeżeń pozazmysłowych). Wielu pozytywistów oczywiście odrzuca parapsychologię, stosując „brzytwę Occama" nie do hipotez, co przeważnie jest słuszne, ale do niedogodnych ich dogmatowi faktów, co oczywiście jest nieuzasadnione.

Twierdzenie dr. Roux, że „pogląd biblijny o pierwszym mężczyźnie i pierwszej kobiecie jest, z punktu widzenia biologii, nonsensem", opiera się na dwu milczących założeniach: a) że człowiek jest tylko zwierzęciem i że — tym samym — to co w zasadzie nie jest możliwe u zwierzęcia, jest również niemożliwe i dla człowieka; i b) że bezpośrednia ingerencja Boga w sprawy przyrody nie jest możliwa.

Oba te założenia nie są niczym innym, jak tylko zupełnie dowolnymi przesłankami filozoficznymi. „Kryterium, co w danej epoce uważamy za możliwe, jest wyłącznie następstwem racjonalistycznych założeń danej epoki" — pisze Jung. „Nie powinniśmy nigdy wołać 'stój' i sądzić, że osiągnęliśmy już granice przyrody tam, gdzie naukowy budowniczy dróg właśnie co tylko się na chwilę zatrzymał." „Nie ma żadnych 'bezwzględnych praw przyrody', do których autorytetu można by się odwołać dla uzasadnienia swych przesądów naukowych" — twierdzi Jung dalej. Gdy więc mówimy, że coś jest „niemożliwe", wygłaszamy twierdzenie dogmatyczne, a nie naukowe.

Nauki przyrodnicze, przez swą metodę, mogą podawać twierdzenia tylko o tych zjawiskach, które możemy wywoływać do woli, lub co najmniej regularnie obserwować. Stworzenie człowieka, jako jednorazowy akt Boży, nie jest ani jednym, ani drugim. Leży więc poza zakresem badania metodami nauk przyrodniczych, a więc nie mogą one w tej sprawie dawać żadnego sądu. Skutki przyrodzone jednak tego aktu stworzenia są zupełnie zgodne z prawami naturalnymi, co nas zresztą nie może dziwić: wszak Bóg jest Jednością. Wiele faktów wskazuje na to, że potomstwo jednej pary może, po wielu pokoleniach, byc niesłychanie liczne.

Irytacja dr. Roux na naukowców katolików ma więc swe źródło bynajmniej nie w tym, jakoby ich poglądy naukowe były jednostronne, ale w tym, że nie chcą oni podporządkować się jego pozytywistycznym pozanaukowym dogmatom.

I tego samego charakteru są wszystkie ataki na dogmaty Kościoła argumentami niby-naukowymi. Z tego właśnie względu dziwnie obronny klimat linii Maginota wśród większości naukowców katolików, zwłaszcza w Anglii, wydaje mi się nieuzasadniony. Katolik nie potrzebuje już dziś „bronić" swego tytułu „naukowca", którego mu dawniej często odmawiali przeciwnicy Kościoła. Dla każdego nieuprzedzonego jest dziś rzeczą całkowicie jasną, że dogmaty Kościoła nie stoją w żadnej sprzeczności z jakimikolwiek doktrynami naprawdę naukowymi. Wszelkie rzekome sprzeczności oparte były w przeszłości tylko na nieporozumieniu.

Natomiast, wydaje mi się, że obowiązkiem naukowców katolickich jest walka z pozytywistycznymi dogmatami w nauce, z naciąganiem twierdzeń naukowych do ich prokrustowego łoża. Należy na każdym kroku odsłaniać luki, błędy myślowe, przedstawianie założeń filozoficznych jako „naukowego rozumowania", bezzasadne przenoszenie wniosków i metod jednej nauki do innego zupełnie zakresu, jakie nieustannie spotykamy w wielu współczesnych teoriach niby-naukowych i w bardzo licznych wypowiedziach naukowców. Postępując w ten sposób naukowcy katoliccy oddadzą bardzo dużą przysługę nauce. Jedynie wykazywanie słabych ogniw w przesłankach takiej czy innej hipotezy może wyzwolić naukę od panowania mylnych hipotez, które na niej ciążą, hamując postęp. Tak właśnie np. postąpił Einstein, uwalniając naukę od hipotezy bezwzględnego czasu i bezwzględnej przestrzeni, która przeszkadzała jej rozwojowi jeszcze od czasów Kartezjusza. A każde wykazanie słabego ogniwa jakiejś hipotezy zmusza do nowych badań, których wynik — bez względu na to czy potwierdza hipotezę, czy też jej zaprzecza — jest zawsze bardzo cenny dla nauki.

Tadeusz Felsztyn

H. JANKOWSKA

APOSTOŁ HUMANITARYZMU

Epoka materializmu, w jakiej żyjemy, niewiele chce mieć wspólnego z miłością bliźniego czy obroną pokrzywdzonych. Nie bez przerażenia obserwujemy, że im więcej na świecie cierpienia, tym potworniejszy obok egoizm, tym głuchsza obojętność. Nie łatwo się przebić przez te zapory, by dać pomoc bliźniemu, i każda udana pod tym względem próba ma podwójną wagę, bo wspiera i pokrzepia nie tylko tych, którzy pomocy doznali, ale i nas wszystkich, którzy zwątpiliśmy w ludzkość...

Takie podwójne doniosłe znaczenie ma głośna akcja humanitarna ojca Pire, akcja pomocy dla najbardziej pokrzywdzonych dipisów, których, czy to z powodu wieku, czy słabszego zdrowia nie chce przyjąć do siebie żadne z państw. Wbrew wszelkim przypuszczeniom i możliwościom, ojciec Pire potrafił wzbudzić dla swych planów zainteresowanie i jego dzieło pomocy bliźniemu rozszerza się w sposób nieoczekiwany, obejmując coraz to inne grupy pokrzywdzonych. Potrafił znaleźć ofiarodawców, nie pukał daremnie. Co więcej: o. Pire, za swoją inicjatywę i upór w jej realizowaniu, dostał nagrodę pokojową Nobla. Czyż to także nie jest powodem do otuchy, a nawet i nadziei, że może rację miała zamordowana przez Niemców młoda Żydówka Anna Frank, pisząc przed śmiercią w swym pamiętniku:

„Słyszę coraz głośniejszy huk gromów zwiastujący burzę, która przyniesie śmierć milionom ludzi. A jednak patrząc może po raz ostatni na niebo myślę, że to wszystko przejdzie, że skończą się te okropne dni i świat wróci znowu do dawnego porządku i spokoju."

Nagroda pokojowa Nobla była dotychczas przyznawana niemal wyłącznie aktywnym politykom i mężom stanu, którzy przyczynili się do utrwalenia pokoju. Fakt przyznania jej skromnemu zakonnikowi, stojącemu zupełnie poza polityką, jest wydarzeniem przekraczającym ramy wieloletniej rutyny.

Kim jest sługa Boży, który swoją działalnością ściągnął na siebie uwagę areopagu, decydującego o wyborze człowieka najbardziej zasłużonego dla sprawy pokoju?

O. Jerzy Pire, twórca „europejskich wiosek" dla dipisów, urodził się w 1910 r. w belgijskim mieście Dinant jako najstarszy z czworga dzieci średnio zamożnej rodziny urzędniczej. Zaraz po maturze wstąpił do zakonu dominikanów — o czym marzył od lat najmłodszych. Czynna natura nie pozwoliła mu jednak zamknąć się w ciszy klasztornego odosobnienia. Ukończywszy wydział filozofii, otrzymał katedrę socjologii na uniwersytecie katolickim w Louvain. Już wówczas starał się ulżyć niedoli ludzkiej, zakładając towarzystwa dobroczynne opieki nad pozbawionymi środków do życia rodzinami i osieroconymi dziećmi.

Po drugiej wojnie światowej, gdy w zajętej przez Niemców Belgii zaczęła się akcja oporu, o. Pire nie ograniczył się jedynie do odprawiania nabożeństw dla belgijskich żołnierzy armii podziemnej, ukrywających się w położonych w pobliżu klasztoru lasach, ale pomagał również czynnie przy odbiorze przysyłanej spadochronami broni. Biały habit osłaniał tak skutecznie jego wojskową działalność, że po wojnie okoliczni mieszkańcy przeczytali z prawdziwym zdumieniem, iż dominikanin, którego pełną poświęcenia dobroczynność podziwiali od tylu lat, otrzymał cztery wysokie odznaczenia wojskowe, przyznawane niemal wyłącznie żołnierzom na polu walki.

Z nastaniem pokoju o. Pire schronił się w zacisze klasztorne, aby po tak aktywnym okresie walki podziemnej, oddać się całkowicie modlitwie i dobrym uczynkom.

W powojennej Europie zaczął się właśnie formować tragiczny pochód ludzi bez ojczyzny. 2 miliony nędzarzy w łachmanach, długi korowód kobiet, mężczyzn i dzieci, wyruszył w kierunku swoich domów rodzinnych i zatrzymał się przed żelazną kurtyną, nie mając odwagi przekroczyć tej granicy, która dzieliła niewolników terroru od wolnego świata Zachodu.

*

7 lutego 1949 roku w drugim rzędzie sali odczytowej w Brukseli siedział biały dominikanin, wsłuchany w słowa amerykańskiego pułkownika, Jana Squadrille, który opisywał nędzę i opuszczenie rozmieszczonych po obozach uchodźców. On sam stał z ramienia UNRRA na czele jednego z takich obozów, w Kufstein, i pełen współczucia dla tych nieszczęsnych ofiar wojennego obłędu, ruszył w świat, aby szukać dla nich pomocy. Zwycięska Europa zapomniała o nich, przerzuciwszy ich na teren państw zwyciężonych, jako część długów wojennych, a oni tułali się teraz po obozach, na próżno czekając na jakąś zmianę ciężkiego losu.

Każde słowo prelegenta odbijało się bolesnym echem w sercu o. Pire. Znał dobrze smutne życie wygnańców, gdyż sam wychowywał się w bardzo ciężkich warunkach jako dziecko uchodźców, którzy w czasie pierwszej wojny światowej schronili się przed inwazją niemiecką do Francji.

Kiedy Amerykanin skończył odczyt, o. Pire podszedł do niego i po kilku słowach wyjaśnienia spytał:

— Czy ma pan przy sobie spis nazwisk wszystkich osiedleńców swego obozu?

Pułkownik podał mu spisy. I już w kilka dni potem 200 dipisów z obozu w Kufstein, o których od wielu lat nikt się nie zatroszczył, zaczęło otrzymywać listy i dary od rodzin belgijskich, które ojciec Pire zwerbował do swojej dobroczynnej akcji.

Był to pierwszy jaśniejszy promień w życiu tych ludzi bez nadziei i bez jutra, pierwszy krok na drodze ratunku.

I od tej chwili o. Pire, przy pomocy płk. Squadrille i kilku młodych entuzjastów, wytężał bez wytchnienia swoją niespożytą energię w celu znalezienia jakichś bardziej ludzkich warunków dla wyrzuconych poza nawias społeczeństw dipisów. A przecież byli to często ludzie, którzy mieli za sobą lata zasług na polu społecznym czy naukowym i którzy niczym nie zasłużyli na los, jaki ich spotkał.

Położone niedaleko Brukseli miasto Huy stało się wkrótce, dzięki o. Pire, stolicą „Europy serca", a mały domek przy rue du Marche był zaczarowanym pałacem tego królestwa. Tu w skromnym pokoiku na pierwszym piętrze mieści się biuro o. Pire. Jedyną ozdobą ścian jest w nim olbrzymia mapa Europy oraz dwa portrety. Na jednym mądre oczy wielkiego społecznika, dra Alberta Schweitzera, patrzą przed siebie w zamyśleniu, na drugim uśmiecha się, w nieświadomości losu, jaki ją czeka, młoda żydowska męczennica, Anna Frank.

Początek nie był łatwy. Ojciec Pire rozporządzał tylko kapitałem 500 funtów, ale miał za to niewyczerpane zapasy optymizmu i energii, a przede wszystkim głęboką wiarę w opiekę Opatrzności.

„Bóg nam dopomoże" — odpowiadał na wszystkie pesymistyczne zastrzeżenia pułkownika Squadrille.

I tak istotnie było. Wkrótce udało się wynająć tanio domek tuż obok biura, w którym umieszczono dziesięć par małżeńskich z obozu w Kufstein, wybranych spośród najstarszych i najbardziej opuszczonych, bez względu na religię, narodowość czy przekonania polityczne.

Tymczasem o. Pire jeździł swoim małym Citroenem po całej Belgii od 7 rano do 7 wieczór, tłumacząc i przekonując. I, o dziwo, niemal nigdy nie kołatał na próżno do serc ludzkich. Datki płynęły z różnych stron. Akcja pomocy rozszerzała się szybko, tak, że w 1952 r. trzydzieści dalszych par rozmieszczonych po wygodnych domach mogło w spokoju dożywać swych dni.

Jednakże wynajęcie czterech domów nie rozwiązywało jeszcze problemu. Belgowie dawali tylko tymczasowe wizy pobytowe, nie chcąc obciążać swego budżetu balastem rozbitków. Groźba niepewnego jutra istniała dalej.

I wówczas to powstał projekt „europejskich wiosek".

Wybudowanie domków choćby tylko dla setnej części najbardziej nieszczęśliwych, bezdomnych uchodźców — to dla biednego zakonnika zadanie nie lada! A jednak w niezachwianej wierze, że Bóg go nie opuści, zaczął szukać na mapie Europy miejsca, gdzie mogłoby powstać pierwsze osiedle. Każda z jego „europejskich wiosek" miała składać się z 20 jednorodzinnych domków, otoczonych ogródkami, gdzie starzy i niezdolni do innej pracy, mogliby uprawiać własne jarzyny i kwiaty.

Pierwsza „europejska wioska" powstała w 1955 r. pod Akwizgranem. Miejsce było dobrze wybrane, gdyż w pobliżu znajdowała się fabryka czekolady, gdzie zdrowsi i młodsi mogli znaleźć pracę, a bliskość miasta wytwarzała uczucie łączności z resztą społeczeństwa. Gdy plac pod osiedle został zakupiony przez międzynarodowy komitet pomocy uchodźcom, projektodawca ruszył znowu w świat w poszukiwaniu dalszych funduszy.

„Powstanie tych osiedli nie jest wcale moją zasługą" — mówił o. Pire ze zwykłą sobie skromnością. — One wyrastają

jak kwiaty na urodzajnej glebie ludzkiego miłosierdzia."

Kiedy tylko pierwsze osiedle było na ukończeniu, o. Pire zaczął już szukać na mapie miejsca na drugą „wioskę europejską". Tym razem wybór jego padł na miasto austriackie Bragancję, położone nad jeziorem Konstancja, w jednym z najpiękniejszych zakątków świata.

„Przecież nie mamy pieniędzy" — martwiła się Irma Jolling, długoletnia sekretarka ojca Pire.

Niewzruszony w swej wierze optymista wykonał charakterystyczny ruch ręką, jak gdyby odsuwał przeszkody: „Zobaczy pani, że Bóg nam dopomoże" — powiedział jak zwykle.

I jakby na potwierdzenie tych słów zadzwonił telefon. Była to wiadomość od notariusza, że bogata Francuska ofiarowała kilka milionów franków na koszty budowy przyszłego osiedla. A za tym wspaniałomyślnym darem popłynęły dalsze datki, duże i małe... Dzieci kupowały cegiełki, urzędnicy wielkiego banku opodatkowali się dobrowolnie... a o. Pire zaznaczał na swej mapie miejsca na następne wioski...

I tak powoli, bardzo powoli, umacniały się fundamenty pod „Europę braterstwa i miłości", nie znającą granic ani też różnic rasowych czy politycznych, gdzie jedynym pasztortem byłoby miłosierdzie dla nędzy ludzkiej. O takiej Europie marzył ojciec Pire.

W 1956 roku został poświęcony kamień węgielny pod trzecią „wioskę europejską". Miała ona tym razem powstać pod Augsburgiem, w Bawarii, a młody, austriacki architekt, Gruber, porwany entuzjazmem o. Pire, zaprojektował różnokolorowe domki, „ażeby rozjaśnić ostatnie lata tym, którzy tak długo żyli w szarzyźnie nędzy."

Trzy osiedla, to zaledwie 60 rodzin wyratowanych z ociekających wilgocią i brudem rumowisk, gdzie na zarośniętych chwastami podwórzach wisiały na sznurach łachmany, które trudno byłoby określić nazwą bielizny.

„Musimy przyspieszyć akcję pomocy... zacząć budować większe osiedla, gdzie można by umieszczać po 40 rodzin... Łączyć po dwa jednorodzinne domki i otoczyć je wspólnym ogródkiem" — niecierpliwił się ojciec Pire".

Przecież to są przeważnie ludzie starzy i chorzy, wyczerpani latami nędzy... nie mogą czekać długo... nasza pomoc może przyjść za późno."

Wpatrzone w wiszącą przed nim mapę Europy, dobre i pełne współczucia oczy o. Pire nie mogły się oderwać od Zagłębia Saary. Zrozumiał nagle, że palec Boży wskazuje mu źródło dalszej pomocy.

4 grudnia 1957 roku na ulicach Saarbrücken pojawił się wczesnym rankiem mały czarny Citroen. Przy kierownicy siedział zakonnik w białym habicie dominikańskim. Na dzień św. Barbary, patronki górników, zjechali się w stolicy Zagłębia niemal wszyscy właściciele okolicznych kopalń i magnaci stalowi. O. Pire trafił do każdego z nich. Po swojemu tłumaczył... przekonywał...

Rezultatem długo ciągnących się rozmów była czwarta, tym razem już podwójna, „wioska europejska", wybudowana pod Saarbrücken i nazwana imieniem dra Alberta Schweitzera.

Wśród 200 tysięcy wysiedleńców, którzy pozostali jeszcze w obozach, budziły się nadzieje, że może i ich los się kiedyś poprawi... Ale powstawał w nich równocześnie i lęk, czy doczekają się swojej kolei.

W kilka miesięcy po poświęceniu kamienia węgielnego pod piątą wioskę, która miała powstać na terenie Belgii, do małego biura na rue du Marche, przyszła depesza zawiadamiająca o. Pire, że 10 grudnia 1958 r. komitet pokojowej nagrody Nobla przy parlamencie norweskim przyznał mu sumę 214.559.40 koron szwedzkich.

Przyznanie nagrody Nobla było zaszczytnym wyróżnieniem i niejako ukoronowaniem wysiłku ojca Pire, ale dawało mu przede wszystkim podstawę materialną do dalszej akcji miłosierdzia. Toteż, już w kilka miesięcy później został poświęcony kamień węgielny w Wupperthal, (w zachodnich Niemczech) pod szóste osiedle, nazwane imieniem Anny Frank. Na uroczystość przybyło wielu dygnitarzy miejscowych i zagranicznych, a kamień węgielny położył Otto Frank, ojciec młodej ofiary nienawiści rasowej, jedyny pozostały przy życiu z całej wymordowanej rodziny.

*

Oczywiście, że pomimo olbrzymiego wysiłku ojca Pire, jeszcze całe tysiące, a nawet setki tysięcy wysiedleńców żyją w karygodnym upodleniu i nędzy. Lecz skromny dominikanin prowadzi dalej swoje dzieło. Że podjął je i realizuje w imię miłości bliźniego, że doszukuje się jej cierpliwie wśród egoizmu i obojętności i że swoim przykładem wskrzesza ją w świecie, który tak bardzo się miłości sprzeniewierzył, fakt ten nadaje specjalne znaczenie i tak ogromnej zasłudze ojca Pire.

H. Jankowska

CZESŁAW FORTUNOWSKI

Z wyjazdu do Polski...

W pismach emigracyjnych pełno teraz relacji z podróży do Polski. Aczkolwiek są to wrażenia raczej subiektywne i uzależnione od środowiska, w jakim się piszący obracał, to jednak mają one tę zaletę, że pochodzą od ludzi, którzy odwiedzając w Kraju przeważnie własne rodziny, mieli możność bliższego niż ktokolwiek wglądu w codzienne życie w Polsce; co więcej, o jego dobrych czy złych stronach rozmawiano z nimi — jak się rozmawia tylko ze swoimi. To nie jest bez znaczenia i dlatego myślę, że tego rodzaju wypowiedzi mogą nam w dużym stopniu pomóc do stworzenia sobie jakiegoś syntetycznego obrazu skomplikowanej rzeczywistości Polski dzisiejszej.

Odmienny oczywiście charakter i odmienne znaczenie mają obserwacje i wrażenia ludzi starszych, a inne — przedstawicieli młodszej generacji. Dlatego też, dołączając i swoje skromne spostrzeżenia do tych, które ukazały się w druku, uważam za konieczne zaznaczyć na wstępie, że opuściłem Kraj mając niewiele ponad dwadzieścia lat. Od 1939 roku żyłem pod okupacją niemiecką na Pomorzu i z tej racji moje obserwacje będą dotyczyły przede wszystkim Pomorza. Porównania przeprowadzam z okresem poprzedzającym o kilka lat wybuch drugiej wojny światowej, sytuacja ówczesna stoi mi bowiem wyraźnie w pamięci. a brak jeszcze wtedy osobistego zaangażowania w procesy twórcze dwudziestolecia gwarantuje być może, większy stopień obiektywności.

SYTUACJA NA WSI

Co uderza na wsi na pierwszy rzut oka, to jej wyższa stopa życiowa. Brzmi to może paradoksalnie, tym bardziej, że wieś odczuła najbardziej konsekwencje absurdalnej polityki okresu stalinowskiego. Krótki okres popaździernikowy umożliwił jednak na tym odcinku ogromną poprawę. Chłopi, otrzymujący dziś znacznie lepsze ceny za swe ziemiopłody i nie zmuszania do wstępowania do państwowych spółdzielni rolniczych, zabrali się znów z całą energią do pracy, aby uciuławszy pieniądze móc odbudować sobie zabudowania, kupić traktor lub maszyny rolnicze. Duże ongiś gospodarstwa zostały rozdzielone pomiędzy rodzeństwa, aby uniknąć konfiskaty, co pociągnęło za sobą zatrzymanie wartościowego elementu rolniczo-gospodarskiego na wsi, z której robotnik rolny najczęściej uchodził do fabryk w miastach. Większe gospodarstwa, których właściciele wywłaszczono jako bogaczy, stały się najczęściej Państwowymi Gospodarstwami Rolnymi, a te nie różnią się zasadniczo od przedwojennych jednostek folwarcznych. Gospodarka na tym odcinku szwankowała często poważnie w okresie przedpaździernikowym, a to głównie z powodu obsadzania funkcji kierowniczych przez osoby wygodne politycznie, ale najczęściej zupełnie nie obeznane z pracą na roli. Dziś już na tych stanowiskach znajdują się przeważnie ludzie z pewnym wykształceniem agronomicznym. Stąd też zazna-

cza się i tu duża poprawa, chociażby w zewnętrznym wyglądzie zabudowań, ilości bydła i nierogacizny. Oczywiście nie można niczego w Polsce generalizować. Robotnikom rolnym w P.G.R-ach powodzi się na ogół lepiej niż robotnikom folwarcznym przed wojną. Znikła przerażająca częstokroć bieda robotników sezonowych, znikły szałasy lepione z gliny i patyków leszczynowych, znikły dzieci przychodzące do szkoły z ugotowanym ziemniakiem w kieszeni jako jedynym posiłkiem w czasie godzin szkolnych. Znikła produkcja drewnianych łapci, obuwia najuboższych.

Tam, gdzie nie tak dawno były kołchozy (spółdzielnie rolnicze), organizowane pod przymusem i w okolicznościach nieraz dramatycznych, dziś istnieją na nowo gospodarstwa indywidualne. Niektóre kołchozy ostały się jednak do dzisiaj i mają raczej dobrą sytuację, płacąc mniejsze podatki i dostając łatwiej maszyny i narzędzia rolnicze. Aby podnieść produkcję wsi niezorganizowanych w kołchozy, powstają obecnie w Polsce kółka rolnicze, otrzymujące dość duże subsydia na zakup cięższego sprzętu rolniczego, który ma być do ich dyspozycji. Zdaje się iż to rozwiązanie znajduje dość duże zainteresowanie wśród rolników (choć niektórzy się boją, że od kółek rolniczych do dawnych kołchozów droga niedaleka).

Ogólnie też poprawił się także wygląd zewnętrzny ludzi: dość dobre ubrania, mniej łat i cer. Chociaż higiena i odżywianie na wsi (dziś najczęściej dostateczne, aczkolwiek mało zróżnicowane) wciąż dużo pozostawia do życzenia, dzieci na ogół wyglądają dobrze odżywione i zdrowe. Zaopatrzenie wsi w produkty żywnościowe często jednak szwankuje. Zdarzają się krótsze lub dłuższe okresy, gdzie na skutek remanentów, zamknięcia kierownika za nadużycia lub tp., dowóz produktów zupełnie się przerywa. Poza tym oburzająca jest wprost praktyka utrzymywania w dużych nawet wsiach jednego tylko sklepu kolonialnego, rzeźnickiego lub piekarni, co przy wyżej wymienionych, nader częstych zdarzeniach) bardzo utrudnia życie. Nawet mniejsze miasta cierpią na brak dostatecznej ilości sklepów, które nie dają w dodatku większego wyboru. Nagminnie spotkać się można z obojętną wobec nabywcy postawą: weź co jest, a nie weźmiesz, to tym lepiej!

Oblicze zewnętrzne wsi raz razi, raz doprowadza do podziwu. Niektóre, nieliczne, jak mogłem zauważyć, wsie przedstawiają obraz przygnębiający. Walą się stodoły, stajnie, budynki mieszkalne, a uszkodzeń nawet mniejszych, nikt nie naprawia, mimo iż nie sprawiałoby to dużego kłopotu. Częściowo są to zabudowania dawniejszych większych gospodarstw, których ziemię rozparcelowano lub rozdzielono między mieszkańców (bo na wsi każdy już dziś chyba uprawia jakąś działkę; nawet dawni szewcy, krawcy, fryzjerzy przedzierzgnęli się w rolników) i które już nie są nikomu potrzebne i dlatego kruszeją mury, zapadają się dachy, niszczeją zasobne ongiś obejścia. Inne natomiast wsie objęte są jak gdyby szałem budowania. W jednej zauważyłem od 30-50 budynków mieszkalnych w różnych stadiach konstrukcji. Rozmawiałem z ludźmi, których energia i zaradność mogłaby pobudzać do dumy narodowej. Proszę sobie wyobrazić parę rolników, rodziców nieletnich jeszcze dzieci, budujących własny dom, ani nie mały, ani ciasny i nie z byle czego: fundamenty z kamienia, sklepienia z betonu spiętego szynami kolei wąskotorowej, ściany z wapna zmieszanego z żużlem, tu i ówdzie wzmocnione cegłą. Domki takie, obrzucone tynkiem, z dużymi oknami i gankiem, pomalowane na jasne kolory, przedstawiają widok przyjemny i solidny. Kim są ludzie mogący sobie pozwolić na taki wydatek? Są to głównie pracownicy fabryczni. Ze względu na wczesne kończenie pracy spotkać ich można co wieczór na własnych budowach, które będą dosłownie dziełem rąk rodzicielskich dla dzieci.

Zelektryfikowanie wsi (Pomorze miało już dużą sieć przed wojną) jest przeważnie dokonane, ale jakoś nie pomyślano o dostatecznym oświetleniu ulic. Radio jest w każdym prawie domu, rzadziej widzi się antenę telewizyjną, ale są i one. Można też zauważyć dużą ilość pojazdów mechanicznych: traktorów, samochodów ciężarowych, ciągników, motocykli, rowerów z motorkiem. Koni jest jednak na wsi wciąż dużo, a z ich dobrego wyglądu przebija polska miłość do tego zwierzęcia. Wieś przestaje być cichym zakątkiem, co oprócz dobrych ma zapewne i swoje złe strony.

Duże zmiany nastąpiły także w dziedzinie językowej. Proces rugowania gwar, zapoczątkowany przed wojną, poczynił już duże postępy. Młodsi mówią już dzisiaj dość poprawną polszczyzną, a nawet starsi pod ich wpływem wyzbywają się nieopatrznie krasy swego dialektu lokalnego. Do wsi przyjeżdża wędrowne kino i lekarz powiatowy raz lub dwa razy w tygodniu, ale w razie potrzeby wezwać można pogotowie, które, jak się osobiście mogłem przekonać, działa sprawnie. Bezpłatną opieką lekarską objęci są wszyscy robotnicy i urzędnicy. Warstwę pod tym względem pokrzywdzoną stanowią jedynie gospodarze indywidualni.

Dość dużo robi się od niedawna w dziedzinie melioracji i odwadniania terenów podmokłych. Zakłada się nowe instalacje i oczyszcza dawniejsze, które były prawie wszędzie zamulone. Drogi także w pewnym stopniu przedstawiają się lepiej. Na dużych odcinkach, gdzie przed wojną były tylko szosy, dziś spotyka się często nawierzchnie asfaltowe lub półasfaltowe. Dawne drogi polne nie zmieniły się jednak zupełnie i tylko rzadko są pokrywane nawierzchnią twardą, mimo iż niektóre z nich mają lokalnie duże znaczenie. W kilku miejscowościach zauważyłem nowe budynki szkolne, które z reguły są dość duże, gdyż mieszczą zawsze szkoły siedmioklasowe. Jeżeli można mieć zastrzeżenia co do ostatecznego wykończenia i solidności samych budynków, to trzeba przyznać, że wyposażenie szkół w pomoce szkolne przedstawia się bardzo dobrze. Jest dużo globusów, map, instrumentów do nauki fizyki i chemii, eksponatów biologicznych, są ładne sale gimnastyczne i biblioteki. W jednej takiej szkole zauważyłem nawet cztery duże mikroskopy; a wszystko to dla mniej więcej 180 dzieci.

Ludność wiejska nie przedstawia tej jednolitości, która ją cechowała przed wojną. Wymieszanie mieszkańców różnych dzielnic Polski przeszło dość spokojnie. Dawna dzielnicowość nie jest jednak jeszcze zupełnie wyrugowana, ale piętnastoletnie współżycie ludzi na tych samych terenach zatarło animozje i niechęci. Pozostałości rozładowują, że tak powiem, małżeństwa „mieszane“, tak że nie jest to już, Bogu dzięki, żaden problem.

Niestety, alkoholizm na wsi, gdzie zdarzał się przed wojną raczej tylko sporadycznie, dziś szerzy się zastraszająco. Zdaje mi się, że zarażona jest nim głównie młodzież i ludzie stosunkowo młodzi. Młodzieży pofolgowano bowiem w okresie stalinowskim do tego stopnia, że choć nastąpiło duże usztywnienie stanowiska wobec niej po Październiku, nie łatwo już dziś wstrzymać proces demoralizacji. Jest widoczne, że młodzi się przede wszystkim nudzą. Kino dojazdowe i radio nie wypełnia długich godzin po pracy, bo nawet robotnicy rolni kończą pracę wczesnym popołudniem. Brak organizacji sportowych, brak świetlic, czytelni, orkiestr wiejskich, nawet tam gdzie były one przed wojną, utrudnia rozładowanie niewyżytej energii. Nie ma co robić z dużą ilością wolnego czasu. Czasem ktoś najmie do pracy na swojej działce, ale na pracę najemną patrzy się nieprzychylnie, więc co pozostaje? Jedyna atrakcja — to bar.

Kościoły wiejskie, które ucierpiały od działań wojennych, są już najczę-

ściej odbudowane, a często nawet odmalowane. Wieś dba o swoje domy modlitwy. Odbudowano również przeważnie plebanie. Religijność wsi przedstawia się też inaczej niż przed r. 1939. Widać daleko większe pogłębienie wiary. Nie tylko można to stwierdzić na podstawie liczebności ludzi przystępujących do Komunii św. na wczesnych mszach w tygodniu, ale i na tym, że do kościołów wiejskich dotarły już msze dialogowane łacinskie i liczne mszały codzienne. Można zauważyć większy udział wiernych w śpiewanych mszach polskich, z pominięciem śpiewania pieśni przygodnych, bez związku z odbywającą się Ofiarą Bezkrwawą. W niektórych kościołach wprowadzono msze św. stanowe, połączone ze wspólną Komunią św. i kazaniem dostosowanym do problemów stanu, np. małżeńskiego, panieńskiego itd. Przeważnie też wprowadza się wczesną Komunię świętą dzieci, w wieku od 7 lat. Dostrzegalne jest wzmożenie innych praktyk religijnych i duży odwrót od uczuciowego tylko rozumienia wiary.

W rozmowach z księżmi daje się często jednak słyszeć głos trwogi odnośnie problemu młodzieży. Zdaje się, że obecne ożywienie i pogłębienie katolicyzmu dotyczy w dużej mierze tylko osób starszych i ludzi dziś już dojrzałych. Młodzież natomiast odbiega bardzo od jej obrazu przedwojennego. Nie można powiedzieć, aby ją komunizm dla siebie zdobył, ale ją rozłożył wewnętrznie. Nie są to najczęściej wojujący ateiści, ale chłopcy i dziewczęta szukający użycia i wyżycia się, bez jakiegokolwiek skrępowania zasadami moralnymi. Pytanie, jak będzie wyglądała wiara w Polsce za 20-30 lat, gdy wykruszą się roczniki ludzi dziś starych lub dojrzałych, spędza sen z oczu wielu niesłychanie oddanym sprawie księżom, czującym ogrom odpowiedzialności przed Bogiem za los swych parafii. Podejmują oni wiele pracy, aby utrzymać przy Kościele tę poganiejącą w zatrważającym tempie tak ważną część wsi.

Niedawne wreszcie ustawy administracyjne, skierowane przeciw Kościołowi w Polsce, nakładają duże obciążenia podatkowe na parafie i proboszczów oraz napawają obawami, że względna wolność religijna po Październiku znów będzie ukrócona. Aczkolwiek nie niszczy się kapliczek przydrożnych, odbudowanych z pietyzmem przez chłopów po dewastacjach niemieckich, i chociaż widzi się krzyże i obrazy święte nawet po niektórych urzędach i sklepach państwowych, znikły one ostatnio ze szkół, gdzie się nieraz uchowały przez cały okres stalinowski.

Na wsiach jest czasem kilku członków partii, ale rzadko który jest przekonanym komunistą. Nie można więc w tej sytuacji mówić o skomunizowaniu wsi. Na wieś dotarł tylko program społeczny, który został tam zaprowadzony w znanych okolicznościach. Sytuacja popaździernikowa usunęła jednak najbardziej rażące absurdy, przywracając wsi jej najistotniejsze prawo — prawo posiadania i gospodarowania na własnym zagonie. Czy jednak sytuacja obecna przetrwa?

MIASTA

Poza małymi wyjątkami miasta w Polsce przedstawiają widok ogromnych placów budowlanych. Buduje się i odbudowuje naprawdę dużo. Gdańsk, Warszawa, Wrocław uderzają obserwatora wielkością i ilością nowopowstających budynków. Nie tylko widać dbałość o odbudowanie partii historycznych takiego Gdańska, czy Warszawy, których śródmieścia są już prawie w zupełności odbudowane, ale ruszyła też już z miejsca odbudowa dzielnic mieszkaniowych, czy zabudowa części dotychczas z różnych względów pozostających w zaniedbaniu. Tak np. rusza obecnie odbudowa terenów w okolicy okrzyczanego Pałacu Kultury. Warszawa, na zwiedzającym ją po raz pierwszy, robi wrażenie wybitnie dodatnie. Będzie to stolica, po jej zupełnej odbudowie, na miarę najpiękniejszych miast europejskich. Nawet Pałac Kultury, który razi swym stylem, od wewnątrz przedstawia się ciekawie i bogato.

Sklepy w dużych miastach nie robią złego wrażenia. Oczywiście nie ma jeszcze w Polsce tak przepełnionych witryn jak w Anglii, ale są one najczęściej urządzone z dużym smakiem i pomysłowością. Ceny mają przeważnie tendencje zniżkujące, jak mnie zapewniali krewni i znajomi. Kupić w nich można prawie wszystko i jest w nich nawet dość duży wybór. Mimo to zdarzają się czasem okresy braku jakiegoś produktu żywnościowego. W lipcu i sierpniu np. brak było mięsa. Transport wewnętrzny opiera się w dalszym ciągu na tramwajach, których jest za mało, a w dodatku dużo bywa starych i zniszczonych. Sławne przed wojną z punktualności koleje dalekobieżne przychodzą teraz prawie zawsze z opóźnieniem.

Ludzi cechuje ogromny pośpiech i zalatanie. Aby żyć względnie dobrze, wielu mieszkańców miast zajmuje po dwie posady. Inteligencja, zubożała w porównaniu ze statusem przedwojennym, żyje skromnie, ale nie w warunkach poniżających. Miałem nieraz możność podziwiać jej dzielny optymizm.

STOSUNEK DO EMIGRACJI

Na ten temat wachlarz opinii jest stosunkowo mały. Najczęściej spotyka się opinie dość krytyczne, oraz znajomość emigracji politycznej z jej mniej chwalebnych objawów kłótni i zatargów. Często głębsze znaczenie emigracji, jako żywego protestu przeciw narzuconej władzy komunistycznej, znajduje niewiele zrozumienia. Stąd też pytanie: „Dlaczego wy tam jeszcze siedzicie, narażając się nieuchronnie na wynarodowienie" powraca uparcie w rozmowach. Duża istotnie swoboda osobista okresu popaździernikowego zdaje się szybko zacierać obraz okresu stalinowskiego. Gdy się mimo wszystko przypomina i wykazuje objawy odwrotu od linii Października i podkreśla pewne pogorszenie sytuacji, rozmówcy najczęściej twierdzą, że najważniejszych zdybyczy Października nie będzie można już odebrać.

PŁACE

Sytuacja finansowa ludzi wykazuje dużą rozpiętość. Robotnik kolejowy najniższej klasy otrzymuje 800 zł. miesięcznie i jakiś deputat (prawdopodobnie węgiel i bilety). Nauczycielstwo ma gażę z trudem tylko dochodzącą do 1.400 zł. Renciści otrzymują od 500 zł. miesięcznie. Są to płace niskie i po miastach pozwalają one zaledwie na wegetację. Zarobki robotników są trochę wyższe. Trudno się więc dziwić, że nieuczciwość i dorabianie sobie metodami kolidującymi z prawem jest tak nagminne. Choć kary za nadużycia są obecnie niesłychanie wysokie (np. osiem i pół roku więzienia za defraudację 20.000 zł. — około £100), nie można się spodziewać nagłej poprawy w tej dziedzinie. Uposażenie poszczególnych grup robotniczych i urzędniczych domaga się drastycznej rewizji.

UWAGI KOŃCOWE

Wrażenie ogólne daje się streścić w niewielu słowach. Naród polski — mimo swojej ciężkiej sytuacji — żyje i pracuje dynamicznie. Odbudowa i praca organiczna raduje serce. Ludzie — wbrew wszystkiemu, co ich dziś gnębi — patrzą w przyszłość z ufnością i realistycznie. Wszędzie wre praca zakrojona na daleką metę. Przywiązuje się dużą wagę do wyjazdów Eisenhowera do Moskwy i Chruszczowa do Waszyngtonu. Marzy się o dużych pożyczkach amerykańskich dla kraju, aby przyspieszyć jeszcze tętno odbudowy i rozwoju Polski, której straszliwe zniszczenia jeszcze długo będą niestety widoczne.

Czesław Fortunowski

JAN ZARAŃSKI

SZCZECIN

OBRAZ Z TŁEM I BEZ RETUSZU

Szczecin to miasto-symbol polskiej obecności na Pomorzu; to kamień węgielny geo-ekonomii nie tylko polskiej, bo port przy ujściu Odry stanowi naturalne wrota dla Czechosłowacji, a przede wszystkim dla całego Śląsko-Morawskiego zagłębia węglowo-stalowego; Szczecin to — obok Gdańska — morski port systemu żeglugi śródlądowej Odra—Wisła—Dunaj...

Artykuł Jana Zarańskiego, jednego z redaktorów Zachodniej Agencji Prasowej, jest świadectwem polskiego wysiłku i dorobku, pożytecznym w odpieraniu zewnętrznych napaści i w staraniach o przełamywanie wewnętrznych trudności i zahamowań. (RED.)

Nazwa jest niezwykle trudna do wymówienia, podobnie jak Szczebrzeszyn lub zwrot „drabina z powyłamywanymi szczeblami". Nagromadzenie spółgłosek, tym gorzej że syczących, właściwe niektórym słowiańskim językom. Ale mimo to ona jest historycznie pierwsza i prawdziwa. Stettin — to tylko nieudolne narzucenie niemieckiego brzmienia polskiej nazwie. O prawidłowości etymologicznego wywodu słowa Szczecin sprzeczano się długo i dziś jeszcze te spory nie wygasły. Pierwowzorem nazwy jest jednak chyba słowiański „szczet", od którego jeden już tylko krok do „szczeciny", co w ówczesnym nazewnictwie miejscowym — wbrew dzisiejszej semantyce — oznaczało „palisadę, ostrokół nad potokiem albo rzekę".

Czyż można się dziwić, że przed lat tysiącem przedstawiciele innych szczepów czy narodów, choćby uczeni, napotykali trudności z transkrypcją tej nazwy? Dla Skandynawów był to trud ponad ich siły, więc nazwali gród Burstaborgiem, jako że germańskie „burst" oznaczało szczeć. Pierwszy historyczny władca Polski, Mieszko I, znał oczywiście Szczecin, bo sięgając po ujście Odry musiał do niego dotrzeć. On też zapewne jest autorem jego łacińskiej nazwy, którą musiał się posłużyć, gdy tworzył wielkiej wagi dokument tzw. „Dagome iudex". Oddając w roku 990 swoje dziedzictwo w opiekę Stolicy Apostolskiej określił piastowski książę granice swojego państwa, przy czym — rzecz znamienna — zachodnia granica niemal dokładnie pokrywała się z jej dzisiejszym zasięgiem. Dokument „Dagome iudex" nie przetrwał do naszych czasów w oryginale. Zachowały się tylko jego kopie w których średniowieczni skrybowie nie ustrzegli się oczywistych błędów ortograficznych i zniekształceń. Dokument wymienia miasta nadodrzańskie, poczynając od nadbałtyckiego Szczecina, który występuje raz jako „civitas Schinesgne", raz jako „Schinesne". Oczywiście, zidentyfikowanie tego granicznego miasta polskiego jako Szczecina było bardzo nie w smak niemieckim historykom, którzy wobec tego próbowali wyjaśnić, że chodziło tu o Gniezno, prześlepiając w swoim fanatyzmie dość istotny szczegół, że siedziba późniejszego arcybiskupstwa gnieźnieńskiego nie leżała nigdy ani nad rzeką, ani tym bardziej nad morzem.

MACIERZ POMORSKICH GRODÓW

Bolesław Chrobry — założyciel biskupstwa w pobliskim Szczecinowi Kołobrzegu — umiał zatroszczyć się o całe Pomorze Zachodnie, zamieszkałe przez Pomorzan, którzy byli z Polanami w etnicznej jedności.

Przyrodni brat Chrobrego — Światopełk, protoplasta dynastii książąt pomorskich, dał początek długiemu szeregowi piastowskich władców tego obszaru, którzy rządzili tu aż do 1637 r. Jeden z nich, Warcisław, okazał nawet pomoc wojskom Krzywoustego w 1121 r. przy zdobywaniu pogańskiego jeszcze wówczas grodu szczecińskiego. Ale w Szczecinie i jego okolicy chrześcijańska wiara trudno się przyjmowała i ludność miejscowa nadal oddawała hołdy bożkowi Trygłowowi. Stan ten trwałby zapewne dalsze dziesiątki lat, gdyby nie odważny czyn pewnej niewiasty, żony magnata Dobiesława, która — jak głosi legenda — zdobyła się na odwagę publicznego ochrzczenia dwóch synów. Za jej przykładem poszło szczecińskie mieszczaństwo, a św. Otto chrzcił jako misjonarz tysiące ludzi. Z jego zapewne inicjatywy wzniesiono w mieście kościół pod wezwaniem św. Wojciecha.

Wraz z ostatecznym zwycięstwem chrześcijaństwa nastąpiła stabilizacja. Szczecin, nazwany w średniowiecznych źródłach „macierzą pomorskich grodów", zaczął w tej części Europy zyskiwać na znaczeniu przede wszystkim jako miasto portowe i ośrodek handlu. Z roli tej mógł się on dobrze wywiązywać m. in. dzięki wybudowaniu tzw. Długiego Mostu i zorganizowaniu przeprawy przez Odrę przy pomocy promu. Według poważnych hipotez naukowych — gród górny, położony w okolicach późniejszego zamku książęcego, tzn. tam, gdzie dziś znajduje się plac legendarnej żony Piasta-kołodzieja — Rzepichy, służył jako strażnica przy przeprawie.

Kroniki z czasów średniowiecznych i nowożytnych podają wiele relacji z życia w szczecińskim mieście. W 1304 r. przewaliła się przez gród nawałnica, która obaliła kościelne wieże, a w kilkanaście lat później Odrę i sam Bałtyk skuła zima okrutnie sroga. W roku 1360 ściągnęło tu świetne rycerstwo z całej Europy na turniej. Wartkim nurtem płynęły także wydarzenia polityczne i dynastyczne. Krzyżowały się w mieście i na całym Pomorzu Zachodnim wpływy ościennych państw. A w kilka wieków później przyszła reformacja. Skaptowała ona umysły i serca górnych sfer społeczeństwa, które od dziesiątków lat ulegało zresztą coraz silniejszym wpływom germanizatorskim. Ostatni słowiański książę szczeciński Bogusław XIV, wciągnięty w wiry szalejącej w Europie wojny trzydziestoletniej, nie mógł już uchronić swego księstwa i jego stolicy od szwedzkiej aneksji. Z powodu wieloletnich walk i towarzyszących im wszelakich klęsk Szczecin, który w X wieku należał do największych miast w Europie, wyludnił się zatrważająco. **Gdy wskutek zmiennych losów kolei dostał się on w roku 1713 we władanie Prus, liczył zaledwie 6 tysięcy mieszkańców.** Nowy władca nie potrafił w pierwszych dziesiątkach lat swego nad Szczecinem panowania tchnąć w miasto iskry życia. W sukurs przyszedł mu dopiero upadek Polski. Dzięki rozległemu zapleczu można było rozbudować port, miastu zaś zapewnić rolę węzłowego punktu na trasach wiodących z Hamburga do Gdańska i Królewca czy z Poznania do Świnoujścia.

WYSEPKI POLSKOŚCI

Dramatyczne były dzieje słowiańskiego żywiołu na obszarach leżących na skraju jego zasiedlenia; był on najsilniej narażony na germanizację ze strony elementów kolonizatorskich, które nieustannie napływały z zachodu i nie miał żadnej szansy zachowania swej narodowej odrębności. Zwłaszcza polska ludność miast Pomorza Zachodniego, niemczonych intensywnie od XVII wieku, zdana była na zagładę. W pruskim Szczecinie uchroniły się od niej tylko poszczególne rodziny.

Gdy podczas kampanii napoleońskiej Szczecin zajęły wojska francuskie, wraz z nimi przybyły na Pomorze Zachodnie także i oddziały polskie z Legii Północnej gen. Sokolnickiego. Zniemczona ludność tamtejszych miast stawiała im opór, ale na wsi witano je życzliwie. Ludność rodzima mogła się przecież z nimi porozumieć w swym języku, wynosząc z tych rozmów przeświadczenie, że ci sojusznicy francuskiego „Boga wojny" niczego bardziej nie pragną, niż pełnej wolności wszystkich słowiańskich ludów.

Ale polski żołnierz spod komendy pułkownika Garczyńskiego czy generała Łubieńskiego, którzy zapuszczali swe zagony aż po Szczecinek i Nowogard, musiał w końcu wycofać się z tych terenów. Wrócili znowu Prusacy, by przez półtora niemal wieku dzierżyć ziemie te w swej władzy.

W niemieckim Szczecinie, który w drugiej połowie XIX wieku wszedł w okres bujnego rozrostu, nieliczni Polacy żyli początkowo w zupełnym rozproszeniu. W 1890 r. powstała pierwsza ich organizacja pod nazwą Towarzystwo Polsko-Katolickie, w której dużą rolę odgrywał żyjący po dziś dzień w Bydgoszczy Edmund Fryka. W kilka lat później stworzone zostało towarzystwo Jedność, a następnie szczeciński oddział założonego w Bochum Zjednoczenia Zawodowego Polskiego. Na koniec w Szczecinie zagnieździł się „Sokół". O jego działal-

ności, zwalczanej szczególnie zajadle przez niemieckie władze, mógłby nam jeszcze dziś opowiedzieć jeden z jego kierowników — mistrz krawiecki Stanisław Karkosz, który doczekał powrotu swego rodzinnnego miasta do Polski.

Tę kilkusetosobową grupkę polską wiązało też w narodowej wspolnocie nabożeństwo odprawiane w każdą czwartą niedzielę miesiąca w kościele św. Jana — dzisiejszej bazylice przy ul. Bogurodzicy. Msza św. odbywała się o godz. 6 rano, bo na inną, dogodniejszą porę nie zgodziła się niemiecka hierarchia kościelna. Pomimo tych utrudnień na nabożeństwo ściągała cała Polonia szczecińska i kościół rozbrzmiewał polskimi pieśniami narodowymi, a ksiądz Pilot, od roku zaś 1917 jego następca — ks. Wojtek, krzepili wiernych kazaniem w języku polskim. Gdy w wyniku energicznych zabiegów szczecińskich Polaków, niemiecka hierarchia kościelna zgodziła się przesunąć termin Mszy św. na godz. 9 rano, trzeba było ustawiać przed świątynią pikiety, które broniły spieszących na nabożeństwo Polaków przed agresywnością miejscowych hakatystów.

Po nabożeństwie wstępowali Polacy do pobliskiego prywatnego lokalu, gdzie znajdowała się biblioteka z 300 książkami, wśród których największą poczytnością cieszyli się: Sienkiewicz, Rodziewiczówna i Karol Miarka.

Po odrodzeniu się w r. 1918 niepodległości Polski niektórzy Polacy wyjechali do Kraju. Garstka tych, którzy pozostali w Szczecinie, próbowała w okresie międzywojennym — m. in. dzięki staraniom polskiego konsula generalnego, Karola Rosego — przejawiać jakąś działalność, napotykała jednak na coraz większe trudności. Polska drużyna harcerska „Gryf" została w hitlerowskich czasach rozwiązana, a wszystkie próby zorganizowania jakiegoś publicznego zebrania w każdą rocznicę święta narodowego 3 maja paliły na panewce. Malutka polska biblioteka przy dzisiejszej ul. Kaszubskiej stała się łupem hitlerowskiej bojówki — książki wyrzucone z rozbitej szafy poniewierały się po ulicy. W tej sytuacji kurczyły się polskie wysepki w Szczecinie, oblane niemieckim morzem i najwięksi nawet optymiści nie widzieli szans wytrwania w polskości. Przebieg wydarzeń we wrześniu 1939 zdawał się potwierdzać ten pogląd całkowicie. W wojennych latach Polacy przybywali do miast dość licznie, ale tylko jako robotnicy złapani na ulicach i przypędzeni tu do najcięższych i najniebezpieczniejszych robót — niewolnicy dwudziestego wieku.

260 — 3 — 260 CZYLI WAHADŁO RUCHU LUDNOŚCIOWEGO

Za niemieckich czasów było tak: władze szukały wszelkich sposobów, żeby zachęcić Niemców do osiedlania się w Szczecinie, jak i na całym niemieckim wschodzie. Mimo to trwał nieprzerwanie „Ostflucht" — zjawisko stałego przemieszczania się ludności niemieckiej ze wschodu na zachód. Przeciwdziałano mu nasyłaniem nowych ludzi z Niemiec centralnych i zachodnich, stwarzaniem szczególnie dogodnych warunków życia w dużych miastach. Dzięki temu ludność Szczecina rosła, ale w żółwim tempie. W roku 1920 miasto liczyło 236 tysięcy, w niecałe zaś dwadzieścia lat potem około 260 tysięcy mieszkańców. Przed samą wojną zdecydowano się na wspaniałe pociągnięcie propagandowe: rozszerzono sztucznie obszar miasta, włączono do niego okoliczne miasteczka i wykazano w roczniku statystycznym 383 tysiące mieszkańców Szczecina. Przez pierwsze lata wojny liczba ta mogła dojść nawet do pół miliona, bo do Szczecina, który początkowo nie był atakowany z powietrza, ściągały tłumy uciekinierów. W roku 1944 przelały się przez miasto i przez port wielka fala ucieczki. Uciekali wszyscy — starzy, młodzi, cywile, wojskowi, kobiety i mężczyźni. Pod koniec kwietnia 1945, gdy hitlerowski Szczecin kapitulował, w jego ruinach było oprócz wojska zaledwie kilkanaście tysięcy mieszkańców.

Ale już w czerwcu tegoż roku przybyło tu wraz z polskim wojskiem i polską administracją 3 tysiące Polaków. **Potem zaś byliśmy świadkami wydarzeń, które można by niemal nazwać polskim cudem ludnościowym.** W dniu pierwszego spisu ludności — 14 lutego 1946 r. miasto liczyło już 73 tysiące ludności, w r. 1947 — 174 tysiące, w 1955 — 220 tysięcy, pod koniec roku ubiegłego 250 tysięcy, w połowie zaś bieżącego — około 260 tysięcy. A więc wystarczyło 14 lat polskiego władztwa w zniszczonym w 35% Szczecinie, żeby osiągnąć niemal stan z roku 1938. Ale temu gwałtownemu skokowi demograficznemu towarzyszy ponadto niezwykłe zupełnie zjawisko olbrzymiego (około 30 promille) przyrostu naturalnego, który sprawia, że w powojennych latach urodziło się tu przeszło 100 tysięcy polskich dzieci, że już przeszło 40% mieszkańców Szczecina — to dzieci urodzone w tym mieście po wojnie. Jakąż wymowę ma ta młodość Szczecina wobec głoszonego nieustannie przez odwetowych Niemców hasła o prawie wypędzonych do ich ojczyzny! Socjolog przypatruje się pilnie tej społeczności, składającej się — jeśli chodzi o pokolenie średnie i starsze — z ludzi z różnych stron Polski, a także repatriantów ze Związku Radzieckiego, bada jej reakcje i rządzące nią prawa.

To pewne, że jest to zbiorowisko ciekawe; prawdziwy bigos w kotle, gdzie dopiero ostatnio wytwarzać się zaczęło poczucie wspólnoty i lokalny patriotyzm. Bo przecież trudno było stabilizować tutaj życie w niespokojnych powojennych czasach, zwłaszcza wobec zaciekłej propagandy NRF, która w różny sposób wmawiała w szczeciniaków, że miasto to lada chwila przestanie należeć do Polski. Trudno też było wielu najświeższej daty, dopiero co ze wsi przybyłym mieszczuchom przystosować się do nowych warunków, zrezygnować z małej hodowli karmazynów w mieszkaniu i z wylewania w tradycyjny dyngus stągwi wody na nie spodziewającego się niczego przechodnia. Ludzie zaczęli jednak powoli przyswajać sobie miejskie obyczaje i uczyć się przywiązania do Szczecina. Zaczęli gdzieś chyba w 1957 r. nazywać go s w o i m miastem. Niby sprawa drobna, taki nowy sposób mówienia, a jednak fakt niemałej doniosłości społecznej. Coś chyba wynika z tego, że obywatele poczuli się u siebie w piastowskim grodzie nad Odrą.

Nie tylko zresztą o nich tu chodzi: ale także, a może przede wszystkim o to, że w ciągu tych 14 lat polskiego władztwa w Szczecinie dokonał się proces integracji tego miasta z całym krajem. Nie są to już dzisiaj żadne kresy, żadna Polska „B" czy „C". Szczecin jest jednym z portowych miast naszego kraju, takim samym jak np. Gdynia. Tak, właśnie przede wszystkim portem i tej funkcji Szczecina warto parę słów poświęcić.

SERCE I SENS ISTNIENIA MIASTA

Za czasów niemieckich Szczecin stał się w okresie przed pierwszą wojną światową dużym ośrodkiem przemysłu stoczniowego. Karierę swoją zawdzięczało miasto wielkiej obfitości siły robotniczej. Na szczecińskim rynku pracy zjawisko to wywołane było nieustannym odpływem ludzi z niemieckiego wschodu (dobrze znany Ostflucht). Ci dobrowolni uchodźcy traktowali często sam Szczecin jako etap swej wędrówki na zachód. W okresie międzywojennym ta koniunktura wskutek m. in. utraty części obszarów na rzecz Polski — osłabła. W latach 1926 - 1932 szczeciński przemysł stoczniowy przeżył ostry kryzys. W punkcie szczytowym tego zastoju — w lutym 1932 r. — magistrat miasta zmuszony był w swym memoriale o stanie przemysłu stwierdzić:

„W związku z tym (unieruchomieniem wielu stoczni — uw. autora), w przedmieściach Grabowo, Drzetowo i Golecino, dla których mieszkańców unieruchomione obecnie stocznie były dawniej zasadniczo jedynym chlebodawcą, panuje coraz większa nędza. Trafiają się tam przecież całe ulice, w których dom przy domu mieszkają tylko bezrobotni".

Hitlerowcy natomiast w r. 1934 przystąpili do gwałtownej rozbudowy stoczni. Trwało to aż do ostatnich niemal dni wojny. O rozbudowie tej decydowały, zwłaszcza w ostatnim okresie, względy czysto wojenne.

Polska przejęła stocznię zniszczoną niemal całkowicie. W latach 1945-1947 niewiele się w szczecińskim porcie działo poza uprzątaniem gruzów. W marcu 1948 r. z drugiej pochylni spłynął na wodę pierwszy statek „Oliwa", a potem w związku z ostateczną decyzją uruchomienia w Szczecinie stoczni produkującej (a nie — jak początkowo zamierzano — jedynie remontowej) rozpoczęły się prace inwestycyjne. W następnym okresie dokonała się przebudowa dwóch pochylni półdokowych i powstała produkcyjna baza pod budowę statków i dużych kutrów. **W r. 1951 wśród ogólnej radości stoczniowców Szczecina założona została stępka pod pierwszy statek.** W latach następnych produkcja statków miała charakter ciągły i stale rosła. Ale stocznia „Odra" miała ograniczone możliwości: budowała jednostki tylko do 10 tysięcy TDW. Stan ten zmieni się po ukończeniu odbudowy największej poniemieckiej stoczni szczecińskiej „Wulkan". Po odpowiednim zainwestowaniu umożliwi ona budowanie na dwóch pochylniach jednostek morskich o dużym tonażu. Już obecnie szczeciński ośrodek stoczniowy może budować jednostki o 35 tysiącach TDW. Po pełnym rozruchu, przewidzianym na rok 1963, roczna produkcja wzrośnie do 140 tysięcy TDW. O rozmiarach nakładów inwestycyjnych

w stoczniach szczecińskich oraz o osiąganych dzięki temu rezultatach świadczy poniższa tabelka:

w milionach złotych:	1955	1956	1957	1958	1959
Nakłady inwestycyjne	19,8	36,9	66,0	54,0	40,0
Wartość produkcji globalnej	376,4	502,9	534,8	620,0	680,0

Załoga stoczni w chwili pełnego jej rozruchu osiągnąć ma stan liczbowy 6 500 ludzi. Większość pracowników przyszła do pracy bez żadnego doświadczenia. Wielu z nich harowało tutaj blisko dziesięć lat w niezwykle ciężkich warunkach, bo pod gołym niebem. W okresie dla stoczni najtrudniejszym, tzn. w latach 1952 i 1953, musieli się oni zadowalać bardzo niskimi zarobkami. Mimo to pozostali wierni swojemu nowemu zawodowi. Niemal wszyscy, którzy wtedy spawali i traserowali, wykonują te czynności i dziś — za przeszło dwukrotnie wyższe wynagrodzenie przeciętne.

Inne nieco, ale równie napawające optymizmem są wskazówki dotyczące działalności szczecińskiego portu, który w roku 1945 przedstawiał obraz zniszczenia, miał powysadzane mola, a ponadto był gęsto zaminowany. Niechże o jego rozwoju powiedzą poniższe liczby:

	1946	1949	1955	1956	1957	1958
Ilość statków wpływających	214	3873	4374	4084	3546	5003
Obroty i przeładunki w tysiącach ton	98	4470	6772	6055	5379	6336

W cztery lata po wojnie polski Szczecin był więc już dużym ośrodkiem portowym. Po rekordowym pod względem obrotów r. 1955 nastąpił w latach 1956 i 1957 pewien ich spadek, spowodowany kryzysem węglowym. Ale już w roku zeszłym nastąpiła duża poprawa, zwłaszcza jeśli chodzi o ruch statków w porcie. Tendencja ta utrzymuje się w dalszym ciągu.

Port szczeciński obsłużył po wojnie do połowy roku bieżącego przeszło 45 tysięcy statków. Dokonano w nim przeładunku około 63 milionów ton towarów. Szczególnie duże i coraz większe znaczenie ma dokonywany przez Szczecin tranzyt dla Czechosłowacji NRD i Węgier, który wynosi łącznie około 11 milionów ton. Zwłaszcza volumen kierowanego przez Szczecin eksportu i importu czechosłowackiego stale się powiększa. Tonaż ten przewyższył ostatnio obroty CSR w Hamburgu. **W ten sposób Szczecin po raz pierwszy w swej nie tylko polskiej historii zwyciężył na tym odcinku potężnego zachodnio - niemieckiego konkurenta.** Systematycznie usprawniają się przewozy śródlądowe w relacji Szczecin — Czechosłowacja (porty czeskie nad Łabą i Wełtawą). Ożywia się też bardzo szlak Odry na trasie Szczecin—Koźle. Ta dokonująca się za sprawą Szczecina gospodarcza integracja krajów Europy środkowej — to bardzo mocny argument na rzecz polskiego Szczecina. Równie mocny jak i to, że port ten mimo istnienia nie zniszczonej Gdyni i odbudowanego Gdańska jest od kilku już lat największym polskim portem przeładunkowym.

ZWYKŁE DNI SZCZECINA

Ale skoro w tytule artykułu mówi się o obrazie bez retuszu — trzeba rysować to malowidło wszystkimi farbami, których dostarcza życie. Dlatego więc trochę informacji codziennych. Nawet człowiek pozbawiony krztyny wyobraźni potrafi sobie uzmysłowić, jak musiało wyglądać w pierwszych powojennych latach życie w mieście, w którym zniszczeniu uległo m. in. 43% zasobów mieszkaniowych, 55 (tzn. wszystkie!) mosty i wiadukty, 40% urządzeń gazowni, elektrownia itp. Dość ospale uprzątano wówczas gruzy. Zabezpieczano w miarę środków pieniężnych przed wszystkim to, co przed zagładą można było jeszcze uchronić. Potem Szczecin ostro zabrał się do inwestycji przemysłowych, ale mieszkaniec miasta mniej więcej aż do r. 1956 cierpliwie czekać musiał na odbudowę w szerszej skali domów mieszkalnych, na zrealizowanie planów urbanistycznych. Wprawdzie mieszka on jeszcze dziś ciasno — jak większość ludzi w Polsce, ale ta cierpliwość zaczyna się mu opłacać, a najbliższe perspektywy są jeszcze pomyślniejsze. Na gruzach całkowicie zniszczonego Starego Miasta powstają bloki obliczone na przeszło 5 tysięcy izb mieszkalnych. Tu od kilku lat trwają prace nad uratowaniem i przystosowaniem do nowych celów starego zamku książąt piastowskich, pretendującego do miana „Wawelu naszych ziem nadbałtyckich i nadodrzańskich". Zamek stanie się siedzibą różnych organizacji społecznych, placówek naukowych itd. W jednym jego skrzydle zostanie oddana do użytku sala na kilkaset osób i największa w mieście kawiarnia. Niektórzy zżymali się na to „szarganie narodowych świętości", lecz wytłumaczono im, że nie mają racji. Cieszą też szczeciniaków świeże tynki kamienic wznoszonych w SDM, czyli w Szczecińskiej Dzielnicy Mieszkaniowej, która ma mieć skromne, bo zaledwie dwunastopiętrowe „drapacze chmur". Niskiego nawet obłoczka nad miastem te „wysokościowce" nie ubodą, lecz nad zwartą zabudową miasta będą górowały. Lepiej więc zaczyna się tu ludziom mieszkać, a przecież w r. 1965 ma przybyć łącznie 30 tysięcy izb.

Lepiej się będzie żyć i znacznie ładniej, przyjemniej niż w pierwszych latach powojennych, gdy częste wiatry wznosiły tumany ceglanego kurzu, a na nieoświetlonych ulicach można było solidnie oberwać. Po uprzątnięciu bowiem gruzów w przerażającej ilości 8 milionów metrów sześciennych założono parki, zieleńce i skwery, które — jak wynika z zielonej statystyki — łącznie z regularnymi lasami w obrębie Szczecina zajmują obszar 3.330 ha. Pamiętajmy, że Szczecin pod względem obszaru jest po Warszawie największym miastem polskim. Takim bogactwem zieleni nie może się poszczycić żadne inne miasto w Polsce. Podobnie jak żadne inne nie rozporządza hydrobusami, czyli miejską komunikacją wodną, którą Szczecin właśnie teraz uruchamia.

W tym grodzie młodych, którzy nadają ton życiu codziennemu, przelewają się na ulicach, rozkrzyczani i przekorni, są gmachy mieszczące instytucje tym dwudziestolatkom potrzebne. Po raz pierwszy w swoich dziejach ma Szczecin cztery wyższe uczelnie z politechniką i akademią medyczną na czele, a kształci się w nich przeszło 4 tysiące studentów. Pragnąłby mieć także i uniwersytet, lecz staje temu na przeszkodzie brak w Polsce dostatecznej kadry naukowców. Absolwenci politechniki zasilają miejscowy przemysł. Widzi się ich w nowej elektrowni „Pomorzany", w fabryce motocykli „Junak", w porcie i stoczni oczywiście, na wszystkich zakwitających coraz to nowymi wiechami budowach.

By zaś ten obraz życia codziennego miasta był pełniejszy, wzbogaćmy go informacją o istnieniu szczecińskiej filharmonii, kilku teatrów, w których Zbyszko Sawan czy Emil Chaberski z powodzeniem przez lata wprowadzali aktorską młodzież w tajniki scenicznej sztuki i wielu — rzecz jasna — kin, przed którymi, zgodnie z prawami ludzkiej natury, ustawia się bardzo długa kolejka żółtodziobów i podfruwajek, gdy tylko film dozwolony jest dla publiczności od lat osiemnastu w górę.

U ŚW. JANA NAD ODRĄ I W INNYCH ŚWIĄTYNIACH PAŃSKICH

W dzień zaś niedzielny i świąteczny, w majowe popołudnie i w godzinie nieszporów tysiące szczeciniaków śpieszy do kościołów. Do starego św. Wojciecha, ufundowanego przed ośmiuset laty przez naszych praojców i już w kwietniu 1947 r. odbudowanego, do św. Jakuba, św. Ottona, wreszcie do św. Jana tuż przy Odrze, znajdującego się dziś w rękach księży pallotynów. Dużo wysiłku włożył wojewódzki konserwator i cały zespół pracowni konserwacji zabytków, by piękna świątynia została odrestaurowana.

Przez długie wieki chodzili tymi samymi ulicami do swych przeważnie ewangelickich kościołów Niemcy. Dziś katolickie świątynie zapełniają prawowierni dziedzice ludu, któremu św. Wojciech i polski misjonarz Paweł nieśli z Gniezna chrześcijańską wiarę. W ciągu czternastu lat od wojny katolicyzm umocnił się tu znacznie. Osiedlili się w Szczecinie księża, których początkowo brakowało i dziś ich ilość odpowiada przeciętnej w miastach całej Polski. Dokonano rekonstrukcji wielu kościołów. Ale przede wszystkim umocniła się w Szczecinie, podobnie jak na całych ziemiach zachodnich i północnych kraju, hierarchia kościelna. W odległym o około 100 km Gorzowie utworzona została największa w Polsce diecezja, o powierzchni blisko 45 tysięcy km kw., obejmująca około 1.200.000 wiernych. Gdy 7 września 1958 r. ksiądz Prymas Wyszyński udzielał w tym mieście sakry biskupiej ordynariuszowi diecezji — ks. biskupowi Wilhelmowi Plucie, zwrócił się w swym kazaniu do wiernych z krzepiącym słowem:

„...Dzieła wspaniałe i potężne powoli rosną jak dęby. Trwanie ludu polskiego, ludu katolickiego na pradawnych ziemiach Polski jest faktem, który uznaje Stolica Święta. I dlatego też przysyła tutaj biskupa... Z tym faktem, że katolicka Polska tu przyszła, tu orze, sieje, tu bije młotem w kowadła, tu klęka i modli się, tutaj wierzy, miłuje, tu nadzieję ma, z

tym faktem Stolica Święta liczy się. I to właśnie, że przysyła wam pasterzy, że każe ich konsekrować, to jest najlepszy znak woli Stolicy Świętej..."

JAK CIĘ WIDZĄ, TAK CIĘ PISZĄ

Słuszność tego przysłowia jest bezsporna. Chodzi jednak o to, że ludzie różnie patrzą na miasta — swoje, a zwłaszcza na obce. Polskiemu Szczecinowi, który wzbudza coraz większe zainteresowanie, ludzie z zagranicy przypatrują się już od dawna. Charles Wassermann, kanadyjski dziennikarz i autor szeroko przez wrogów naszego kraju kolportowanego paszkwilu w postaci książki o polskich ziemiach odzyskanych pt „W polskiej administracji", starał się patrzyć na wszystko na tych obszarach spojrzeniem zezowatym. Takim też spojrzeniem ogarnął i Szczecin — znalazł w nim dużo ruin, stwierdził, że miasto jest bez wyrazu i... pojechał dalej. Po nim przyjechało paru podróżników tego samego autoramentu, którzy puścili wodze swej fantazji.

Panowie Leeb i Strobel z „Münchner Illustrierte" z 18. 4. br. tak oto piszą po swym pobycie w Szczecinie:

„Spokojnie jest w tych stronach, smutno i martwo, ludzi prawie nie widać... Wygląda na to, że Polacy uważają swój pobyt tu za jedynie tymczasowy..."

Jakiś z Bożej łaski satyryk mimo woli w zachodnio-niemieckim piśmie przesiedleńców potrafił się nawet uskarżać na to, że w Szczecinie nie mógł się z nikim porozumieć nie tylko po niemiecku, ale nawet po łacinie. Trzeba więc było pokornie bić się w piersi i wyjaśniać mu w prasie, że „I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu", zaś w Szczecinie nie mówią po łacinie. Tego rodzaju głosy można spokojnie puszczać mimo uszu, ich bezsens uderza rykoszetem w samych autorów.

Interesujące i ważne dla nas są natomiast obserwacje ze Szczecina, czynione przez ludzi obiektywnych, nawet jeśli są wobec dzisiejszej Polski nieufni lub wręcz jej nieżyczliwi.

E. Verg z „Hamburger Abendblatt" z ciężkim zapewne sercem przyznać musiał, że „W tym mieście żyje i pracuje znowu 270 tysięcy ludzi, to znaczy 270 tysięcy Polaków... 270 tysięcy nowych szczecinian — to fakt realny..."

Amerykański dziennikarz A. N. Rosenthal relacjonował na łamach „New-York Timesa" z maja br. swoje wrażenia z pobytu w Szczecinie w takich m. in. słowach:

„...Stocznia wyszkoliła już nową kadrę robotników... Kiedy Polacy przystępowali do odbudowy stoczni, pracowało tylko 7 techników i 1 inżynier. Obecnie jest tu zatrudnionych 100 inżynierów i 300 techników. z których najstarszy liczy 34 lata... Na miejsce Niemców zjawili się Polacy ze wschodniej i centralnej Polski. Byli to patrioci, ludzie przeważnie młodzi, którzy przyjechali tchnąć nowe życie w to portowe miasto..."

Wreszcie angielski poseł labourzystowski — Desmond Donnelly w swej niedawno opublikowanej książce pt. „The Wind of March" stwierdził po trzech bytnościach w Polsce, że „...Polacy dokonali wiele dla odbudowy szczecińskiego portu — w ogóle w dziele odbudowy ich osiągnięcia są większe niż Czechów..."

Jak cię widzą, tak cię piszą. Tylko, że ludzie bezstronni widzą, że jest coraz lepiej, więc też i w tym duchu piszą.

Pozwólcie, Czytelnicy z dalekiej Anglii, narysować na zakończenie jeden jeszcze obrazek z życia opisywanego miasta.

Pod koniec czerwca br. obchodzono w Szczecinie uroczyście „Dni Morza". Nastrój był odświętny, ale nie pompatyczny. Po prostu wszyscy mieszkańcy Szczecina i przybyli na tę fetę goście z całej Polski radowali się, że ten port i miasto zaczynają wystawiać naszej ojczyźnie coraz lepsze świadectwo i że lepiej się w nim ludziom mieszka. A na Wałach Chrobrego jakiś starszy pan, równie krzepki jak popularny w Szczecinie „dziadek" Ignacy Lipiecki, od lat kilkunastu pracownik Szczecińskiego Urzędu Rybackiego i chodząca encyklopedia rybołówstwa, zapatrzył się na wydęty na wietrze biało-czerwony sztandar i wyraźnie wzruszony powiedział do otoczenia: „Dwadzieścia lat temu to ja tu jeszcze w Polskę nie wierzyłem".

Jan Zarański

ST. CZECHANOWSKI

GESTY I MANEWRY

W hamburskim „Die Welt" (22. 8.), we wstępnym artykule pt. „Es fehlt die grosse Geste" („Brak szerokiego gestu"), H. Zehrer apeluje do kanclerza Adenauera: „Gdyby kanclerz był rzeczywiście mężem stanu, podejmującym — co mu się zarzuca — samotnie wielkie decyzje, to podjąłby dzisiaj jedną z takich decyzji, do których uprawnia go artykuł 65 konstytucji... Zakomunikowałby, że zdecydował się na podjęcie stosunków dyplomatycznych z Polską... Skorzystałby ponadto z okazji 1 września, 20-ej rocznicy niemieckiego napadu na Polskę i początku II wojny światowej, by zwrócić się z orędziem do narodu polskiego, gdzie — nie bacząc na względy taktyczne i trudności polityczne — powiedziałby, co demokratyczny Niemiec roku 1959 myśli o czynie narodowo-socjalistycznego Niemca z roku 1939 i co w rzeczywistości winni są Niemcy Polsce..."

Kanclerz Adenauer przemówił 31 sierpnia do narodu polskiego z okazji 20-ej rocznicy najazdu niemieckiego. Ale nie ma tam „wielkiego gestu". Było parę komplementów pod adresem „sympatycznego narodu". Nie było wzmianki o 6 milionach ofiar; cisza o symbolicznym chociażby odszkodowaniu; milczenie w sprawie normalizacji stosunków polsko-niemieckich.

Natomiast Adenauer podjął próbę umniejszenia winy niemieckiej przez zestawienie niemieckiej agresji z zajęciem wschodniej Polski przez Sowiety. Ciosu w plecy zadanego walczącej armii polskiej nie można niczym usprawiedliwić. Ale do oceny najmniej uprawnionym jest przedstawiciel narodu, w imieniu którego Hitler do wojny świadomie dążył, wywołał ją i sowieckiego wspólnika do podziału Polski zachęcił. Takie „orędzie" zbliżenia obu sąsiadów nie tylko nie ułatwi, ale zadraźnienia jeszcze pogłębi. Mowa była wystrzałem w próżnię i musiała zostać odtrącona przez Warszawę.

Chociaż poważna prasa niemiecka zirytowała się przemówieniem Cyrankiewicza, to jednak sama uznała wyżej wspomniany zwrot w „orędziu" jako niewłaściwy, szkodliwy a nawet niepokojący. Warszawski korespondent „Frankfurter Allgemeine Zeitung" pisał o zaniepokojeniu w kołach rządowych i w opinii; dopatrzono się w wystąpieniu Adenauera oznak igrania z myślą o zbliżeniu niemiecko-rosyjskim. Również i w Bonn interpretuje się mowę z 31 sierpnia jako objaw wstrzemięźliwości niemieckiej w stosunku do Polski, by nie obciążać nie tyle stosunków polsko - rosyjskich, ile niemiecko - sowieckich...

Na tym tle nabiera specjalnego znaczenia list kanclerza Adenauera z 28 sierpnia do Chruszczowa. List, którego rozgłos był nieduży, stanowi w swoim rodzaju sensację, jest inspirowany przez innych jako możliwość zwrotu polityki NRF. Są tam istotnie zwroty dotychczas nie spotykane w korespondencjach dyplomatycznych obu państw. Kanclerz, znany ze swego nieubłaganie wrogiego stosunku do komunizmu, pisze: „...powiem Panu z całym naciskiem i z całą powagą: Nie żywię nienawiści ani do socjalizmu ani do tej formy socjalizmu, która określa się mianem komunizmu. Nie żywię nienawiści do żadnego państwa dlatego, że jest socjalistyczne, ani do żadnego człowieka, dlatego że jest komunistą. Idę jeszcze dalej: w pewnych stadiach rozwoju jakiegoś narodu mógłby może socjalizm być tą formą gospodarczego rozwoju, która sprzyja postępowi. To mogłoby mieć miejsce przede wszystkim w wypadku, gdy poprzednia faza wykazała szczególne zaniedbania... — Pozwoli Pan — kończy dr Adenauer — że powrócę do historii naszych narodów. Mówił Pan, że były pomiędzy naszymi narodami dobre, nawet przyjazne stosunki, były także i złe i zamącone okresy. Prawdą jest, że dobre i przyjazne stosunki sąsiedzkie służyły postępowi obu naszych narodów. Wówczas, tak samo jak i dzisiaj, istniały ideologiczne różnice. Nie muszą one być przeszkodą, w szczególności dla naszej gospodarczej współpracy. Tym wszystkim sprawom pragnę poświęcić moją uwagę w przyszłości, jeszcze bardziej aniżeli dotychczas. W liście swoim pisał Pan, Panie Premierze: 'Obaj nie jesteśmy już w tym wieku, w którym można się wzajemnie straszyć... Obaj widzieliśmy dość okropności, by do tych sposobów się uciekać.' To są prawdziwe i dobre słowa. O nich myślałem, gdy pi-

(Ciąg dalszy na str. 30)

MIECZYSŁAW PASZKIEWICZ

Nad Lemanem

Weranda małej restauracji na przedmieściu Lozanny. Jezioro jest ciche. Brzeg francuski — miasteczka i góry — widać wyraźnie. Ludzie uśmiechnięci. Dobrze ubrani. Mówią o sprawach błahych. Łabędzie podpływają do samych stóp rozmawiających, w nadziei żeru. Ma się ku wieczorowi.

MARIA-KLARA: — Pomyśleć tylko... Jutro wyjeżdżacie! Tak prędko upłynął wasz tu pobyt. A ociągaliście się z przyjazdem. Mówiłeś zawsze o Szwajcarii z niechęcią, nie znając jej.

PIOTR: — Ależ...

MARIA-KLARA: — Nie zaprzeczaj. Z ukrywaną, może podświadomą, ale z niechęcią. Teraz poznałeś trochę ten kraj. Musisz przyznać, że ma swoje dobre strony i zalety.

PIOTR: — Naturalnie: wyjątkowo uprzejmą usługę w w restauracjach, doskonałe okonie i łososie jeziorne, świetnie urządzone mieszkania od łazienki zaczynając a na kuchni kończąc.

MARIA-KLARA: — Nie żartuj. Wiem przecież, że nie tego szukasz w życiu i w swoich włóczęgach.

PIOTR: — Nie. Ale to znalazłem w Szwajcarii.

MARIA-KLARA: — I nic poza tym?

PIOTR: — Skądże! Masę pięknych rzeczy — zawdzięczając miłej przewodniczce: krajobrazy, architektura, muzea...

MARIA-KLARA: — Ale uwagę zwróciłeś przede wszystkim na urządzenie kuchni, grzeczność kelnerek i smażone okonie. Dlaczego?

PIOTR: — Bo wy sami zwracacie na to największej uwagi.

MARIA-KLARA: — Mówisz z przekąsem. Czy naprawdę masz nam to za złe?

PIOTR: — Jest coś istotnie niemoralnego — przynajmniej dla mego wyczucia moralności — w waszym zamiłowaniu, raczej waszej czci dla wygody życia, komfortu.

MARIA-KLARA: — Cóż niemoralnego widzisz w tym, że lubimy jadać smaczne potrawy, ładnie podane przez czyste, uśmiechnięte dziewczęta?

PIOTR: — Zmiłuj się! Coś dużo tych przymiotników.

MARIA-KLARA: — Nie przerywaj! Cóż złego w tym, że dbamy, aby nasze dzieci uczyły się w jasnych, higienicznych (...nie śmiej się! wiem, że znowu były dwa przymiotniki!...) budynkach, że zastosowujemy zdobycze techniki, aby zapewniły nam więcej wolnego czasu, czasu potrzebnego na zwiedzanie wystaw, słuchanie koncertów i cieszenie się pięknem natury?

PIOTR: — Nieodrodna córko swego wieku, kraju, klasy! Mówisz: „zwiedzanie wystaw", nie: „malowanie obrazów". „słuchanie koncertów" — nie: „tworzenie muzyki". Gdy o naturę chodzi — ty to nazywasz naturą? Jeziora obrośnięte domami, szosy ujęte w kleszcze chodników, elektryczne kolejki unoszące cię bez trudu tam, gdzie już samochodem nie można dojechać...

MARIA-KLARA — Jeziora obrosły domami, bo każdy chce mieć udział w pięknie Lemanu o zachodzie słońca. Chodniki ułatwiają spacery wśród lasów bez zamoczenia nóg. Elektryczne kolejki...

PIOTR: — Spacery wśród lasów, podszyte obawą przed zamoczeniem nóg. Sama powiedziałaś. Podziw dla przyrody i jego mieszczańskie granice. Wszystko tu u was nastawione na wygodę. Ma to zapewnić, a przynajmniej ułatwić, zdobycie szczęścia lub utrzymanie go. Nasuwają się jednak dwie wątpliwości: czy rzeczywiście komfort pomaga w osiągnięciu szczęścia? I — jeśli tak — czy dobrze jest ludziom, gdy są zawsze i bez trudu szczęśliwi?

MARIA-KLARA: — Nie zwykłam zastanawiać się nad takimi pytaniami. W obu wypadkach rozumie się samo przez się, że odpowiedź jest twierdząca.

PIOTR: — Dla Ciebie...

MARIA KLARA: — Oczywiście: dla mnie! I, proszę, nie mów (a masz na to jak mi się zdaje ochotę): „bo jesteś kobietą", czy: „jesteś typową kobietą" — to by było brzydko i banalnie. „Klisza" — jak mawiają nasi przyjaciele „intelektualiści".

PIOTR: — Nie chciałem powiedzieć nic uszczypliwego o kobietach — przynajmniej nic specjalnie o kobietach. Wiesz przecież, że dominującym uczuciem, jakie dla nich żywię, jest wyrozumiałość, wyrozumiała rycerskość.

MARIA-KLARA: — „Wyrozumiała", aby nie powiedzieć „pobłażliwa".

PIOTR: — Chcesz mnie zmusić do trudnej obrony, bądź do haniebnej ucieczki. Ale zdecydowany jestem nie ustępować. Jak Antaeusz z Matki-Ziemi, tak ja z chłodnych kamieni Lenzburga zaczerpnąłem siły. Powiedziałem „wyrozumiała" i to właśnie miałem na myśli. W pobłażaniu brak elementu rozumienia.

MARIA-KLARA — Wspomniałeś zamek lenzburski. Przypomniało mi to Chillon. Czy pamiętasz jak powiedziałam wyglądając przez łuk drzwi wychodzących z dolnej kondygnacji zamku wprost na jezioro: „I oni mieli swoje radości życia". Uśmiechnąłeś się wtedy. Myślałam oczywiście o tych twoich dzikusach średniowiecznych...

PIOTR: — Masz na myśli książąt Sawojów — współtwórców i opiekunów waszej kultury?

MARIA-KLARA: — Właśnie. Analfabetów i protektorów analfabetyzmu.

PIOTR: — Znowu wyłazi z ciebie kobieta.

MARIA-KLARA: — „Jak szydło z worka" — tak jakoś brzmi przysłowie? Lubię te wasze przysłowia.

PIOTR: — Nie przekupisz mnie zdawkowymi pochwałami mego narodu. Wracając do tematu: wątpię, by Sawojowie byli szczególnymi krzewicielami analfabetyzmu. Skądinąd analfabetyzm to ulubione straszydło kobiet.

MARIA-KLARA: — Czy nie wydaje ci się naturalne, że chciałabym, aby moje dzieci umiały czytać i pisać, aby było im łatwo zdobywać wiedzę? Nie tylko użyteczne umiejętności, ale także wiedzę o pięknie i mądrości świata...

PIOTR: — Wiem, wiem: „free, compulsory education", jak to trafnie określił Aldous Huxley.

MARIA-KLARA: — Nie chcesz chyba wmówić we mnie, że jesteś zwolennikiem analfabetyzmu? Gdyby nie pogardzane przez ciebie umiejętności, nie napisanoby całej twojej ulubionej poezji.

PIOTR: — Poezji się nie pisze, ją się tworzy.

MARIA-KLARA: — To prawda. Homer nie napisał zapewne „Iliady". Gdyby jednak nie zapisali jej inni, nie istniałaby dzisiaj lub istniałaby w formie skażonej nie do poznania.

PIOTR: — Mógłbym przytoczyć wiele argumentów na obronę przechowywania poezji przez tradycję ustną i to w zdumiewająco czystej formie. Ale nie o to mi chodzi. Jestem oczywiście wdzięczny tym anonimowym skrybom, którzy chronili jak umieli od zagłady dzieła cudzego geniuszu i wzruszenia. Chodzi mi tylko o to, by nie przestawiać stopni wartości. Akt twórczy jest ważniejszy niż forma jego utrwalenia.

MARIA-KLARA: — Nie zawsze łatwo go oddzielić: rzeźba, malarstwo, architektura...

PIOTR: — A także literatura. Formą jej jest słowo, nie litera.

MARIA-KLARA: — Czym więc jest pismo?

PIOTR: — W stosunku do literatury tym, czym fotografia w stosunku do sztuk plastycznych: dokumentem.

MARIA-KLARA: — Nie jest więc sztuką — pisanie?

PIOTR: — Samo w sobie — tak. Jest pięknym rzemiosłem: kaligrafią. Rzemiosłem, dla którego mam wiele szacunku i sympatii, które cenię. Rzemiosło to zanika dzisiaj lub raczej zanikało do niedawna. Wskrzeszono je sztucznie i w bardzo ograniczonym zakresie — głównie na użytek reklamy. Pomyśleć tylko: zanikało w blasku twej upowszechnionej i zmechanizowanej „kultury". kwitło natomiast w mrokach średniowiecza, za najbardziej autokratycznych czasów starożytności. W dziedzinie litery nie wymyślono nic piękniejszego od wyrytych w kamieniu napisów łacińskich z okresu wczesnego cesarstwa. Nic piękniejszego, przynajmniej w Europie. Bembo, Plantin. Bodoni — to tylko imitatorzy, kontynuatorzy mniej lub więcej udatni.

MARIA-KLARA: — Ależ i ja cenię Rzym. Podziwiam średniowiecze. Wolałabym co prawda, aby łacińskie napisy nie powstawały przy akompaniamencie świstu bata, a iluminowane manuskrypty w celi sąsiadującej z salą tortur.

PIOTR: — Jeżeli wspomnisz jeszcze Świętą Inkwizycję, obraz będzie kompletny. Śliczny obrazek z demoliberalnego podręcznika dziejów powszechnych w wydaniu popularnym

MARIA-KLARA: — Pociesz się, dzięki powszechnemu i dobrze zorganizowanemu wykształceniu, mój wnuk nie będzie już korzystał z tego podręcznika. Nauczą go oceniać rozróżniać, beznamiętnie sądzić. Trochę cierpliwości. Żyjemy w czasach przełomowych: nauczono się wreszcie, po raz pierwszy w dziejach, prawdziwie naukowo traktować oświatę i wychowanie. Niech się tylko nowoczesne metody upowszechnią, niech dorośnie pierwsze pokolenie naprawdę wychowane i wykształcone, a świat zmieni swoje oblicze.

PIOTR: — Nuży mnie ta wiekuista „przełomowość naszych czasów". Wszyscy dziejopisarze ulegali złudzeniu otoczenia: o nadzwyczajności swego wieku. Jakże chciałbym wziąć do ręki kronikę zaczynającą się od słów: „Żyjąc w czasach zwykłych i nieprzełomowych postanowiłem spisać ich dzieje po to, aby pokazać jak niezmiennymi prawami rządzi się historia." A co do twego wnuka — to, jeśliby przypadkiem wszystko poszło po twojej myśli, wygaszonoby w nim namiętność, wypleniono gniew, radość. Piękno podawanoby mu w strawnych dozach. Nudny będzie ten twój wnuk, jeśli nie odziedziczy po babce jej pazurków, niewyparzonego języka i czupurności.

MARIA-KLARA: — Nie bój się o niego. Nie zabraknie mu cech indywidualnych. Przeciwnie. Będzie miał więcej niż my możliwości do ich pielęgnowania. Nowoczesna szkoła znacznie skuteczniej kształci charakter pojedyńczego ucznia niż osławione kolegia jezuickie, gdzie wbijano w głowy (i nie tylko w głowy) zawsze ten sam klasyczny balast o wątpliwej jakości i to w dodatku metodą przerażająco nieekonomiczną, bo nie opartą na psychologii. Dziś szkoła dba świadomie o indywidualność wychowanka. Pielęgnuje ją starannie, oczywiście w granicach przydatności dla społeczeństwa.

PIOTR: — Kolegium jezuickie było w istocie tylko przedszkolem. Szkołą było życie samo. Ono kształtowało charaktery, rozwijało indywidualności. Kolegium — to symbol. Tę samą rolę przedszkola spełniał średniowieczny uniwersytet, służba na feodalnym dworze, grecki pedagog w domu rzymskiego senatora. To szkoła — życie — podupadła dziś przede wszystkim. Kształci ludzi niedbale, tuzinkowo.

MARIA-KLARA: — Zgadzasz się więc jednak na pewną niezwykłość naszych czasow?

PIOTR: — Czasy mają w sobie zwykłą dziejom wielkość i grozę. Ale ludzie, tak. Ludzie dziś są nadzwyczajnie zwyczajni, banalni, mali. Wspomniałaś o indywidualności warunkowanej przydatnością. Z tą grzeczną przydatnością różnie bywa. Na dłuższą metę najprzydatniejszymi dla ludzkości okazują się krnąbrni. To oni stawiają milowe słupy dziejów w każdej dziedzinie życia. Oni tworzą sztukę i zapisują własną krwią karty historii.

MARIA-KLARA: — Nie znam się na tych wielkich sprawach. Wiem tylko, że krnąbrność jest diabelnie niewygodna w codziennym współżyciu. A gdy o „karty historii" idzie, wolałabym, by zapisywano je uśmiechami niż krwią. I ja lubię wielkość, ale wolę oglądać ją z daleka, z odległości pięciu czy piętnastu wieków. Wtedy ocenić można całe jej piękno. Z bliska doświadcza się tylko chropowatość. Komfort natomiast — który tak cię drażni — czyni życie miłym na codzień, sprzyja łagodności, przytulności. Przy tym, usuwając materialne uciążliwości pozostawia więcej miejsca życiu duchowemu.

PIOTR: — Rozumiem i doceniam zalety komfortu — nie byłby groźny, gdyby ich nie posiadał. To prawda, że urządzenia techniczne oszczędzają człowiekowi czasu. Niestety, nieczęsto dobrze go zużytkowuje. Z natury leniwy, trwoni zdobyte godziny najbezmyślniej. W najlepszym razie wypełnia je biernym obserwowaniem zdobyczy cudzego ducha: słucha muzyki, ogląda dzieła sztuki (lub częściej ich reprodukcje)... mówiliśmy już o tym... Nie tworzy. Twórcza radość pięknego rzemiosła — dostępna dawniej każdemu — przysługuje dziś tylko fachowcom.

MARIA-KLARA: — Czy ci to dogadza, czy nie, specjalizacja jest prostą koniecznością. Nie ma już dziś miejsca na geniuszy twórczych we wszystkich dziedzinach sztuki i wiedzy równocześnie. Każdy z nas pracuje na swym małym odcinku, ale pracuje wydajnie

PIOTR: — Ta metoda zdając egzamin w technice, zawodzi w dziedzinie kultury. W tym tkwi zapewne jedna z przyczyn izolacji, a co za tym idzie, zdziwaczenia twórczości artystycznej naszych czasów. Przerażające i zdumiewające jest nieuctwo, tępota i wulgarność smaku ogromnej większości tzw. inteligencji. Otwiera to wygodną drogę tupetowi i szalbierstwu, zamyka prawdziwym wartościom. Powszechny brak intuicji, wyczulenia na piękno, łączy się z brakiem delikatności.

MARIA-KLARA: — Zdajesz się zapominać, że żyjemy w czasach wielkich przemian społecznych. Takie zmiany nie mogą zachodzić bezkarnie

PIOTR: — Chciałbym o tym zapomnieć. Niestety, nie jest to sprawą łatwą. Zmiany zachodzą nazbyt hałaśliwie i — w każdym razie, jeśli o kulturę chodzi — na gorsze. Pamiętasz Mszę w Einsiedeln? Ów młody Anglik w szortach — student prawa — jak się potem z rozmowy okazało, wspinający się na palce, by nad głowami wiernych sfotografować księdza w czasie Podniesienia? Obok niego stała stara kobieta. W jej spojrzeniu wyczytać było można modlitwę: „Boże, ześlij ogień karzący na tego błazna — świętokradcę".

MARIA-KLARA: — I gdzież tu miłość chrześcijańska?

PIOTR: — Miłość nie sprzeciwia się gniewowi. Raczej mu towarzyszy. Miłość to płomień, nie różowy uśmiech. Nie ma miłości w obrazach Bouchera czy Renoira. Można ją jednak znaleźć u Rouaulta, Daumiera, Goyi — czy Boscha. Nie uśmiechaj się. Także i u nich. Również u Pateniera.

MARIA-KLARA: — Co? W tych niebieskich, lodowatych krajobrazach?! To musi być miłość mistyczna: — Nie moja specjalność.

PIOTR: — Miłość mistyczna często pali się niebieskim płomieniem. Jak u El Greca, jak w błysku miecza.

MARIA-KLARA: — „Raj wiernych jest w cieniu mieczów...", ale to chyba pochodzi z Koranu, nie z Biblii.

PIOTR: — Miecz, jak każde narzędzie, służyć może dobru i złu. Czyż trzeba przytaczać ci przykłady Świętych, Jerzego, Maurycego, Ludwika?

MARIA-KLARA: — Nie mogę tylko pojąć, co cię w tym prostym, niewybrednym kształcie fascynuje. To co w nim istotne, to kawałek żelaza. Można go oczywiście zdobić złoceniem, pięknie wygrawerować, ale będą to upiększenia przypadkowe, które z łatwością dałoby się umieścić gdziekolwiek indziej.

PIOTR: — Piękno miecza polega na szlachetnej użyteczności. Celowość kształtu nadaje mu dostojnego uroku. Celowość ta wspiera sprawność człowieka. Życie rycerza zależy od wyważenia, mocy, ostrości jego broni. O pięknie przedmiotu decyduje między innymi celowość jego ozdób. Ozdoby zbędne, ozdoby służące tylko dekoracyjności, nadają narzędziu cech żałosnej groteskowości. Zrozumieli to od niedawna artyści-rzemieślnicy. Pamiętają o tym doskonale średniowieczni płatnerze.

MARIA-KLARA: — Śmieszny jesteś — wybacz — z tym swoim czasem teraźniejszym, gdy mowa o średniowieczu. To jest przeszłość — niepowtarzalna, dzięki postępowi.

PIOTR: — Przeszłość jest teraźniejszością.

MARIA-KLARA: — Bawisz się w wywoływanie duchów, a to podobno zajęcie zarezerwowane dla kobiet.

PIOTR: — Wczoraj jeszcze mówiłaś mi, że wierzysz w duchy.

MARIA-KLARA: — Mówiłam, że się ich boję, a to co innego. Boję się także przeszłości. Wysysa i kradnie z bliskich mi ludzi wzruszenia. Przeszłość — upiór.

PIOTR: — Cóż jest teraźniejszość? Czym będzie za chwilę — jeśli wolisz. — Małym okruchem przeszłości.

MARIA-KLARA: — Przestanie mnie wtedy obchodzić. Zastąpi ją nowa teraźniejszość, bogatsza o kilka przydatnych doświadczeń. Czy ta zbliżająca się teraźniejszość nie ma dla ciebie uroku, czy cię nie ciekawi?

PIOTR: — Ciekawi mnie jej groza, nie urok. Ale patrz: jeszcze chwila, a zapadnie zmierzch. Czy nie chciałabyś pojechać do...

MARIA-KLARA: — ...Chillon? I to po tylu tyradach przeciw mieszczańskiemu smakowi. Ależ to ulubione miejsce wycieczek zamożnych sklepikarzy z Lozanny, Fryburga, Berna. „Chillon o zachodzie", „Chillon w blasku księżyca". Widziałam chyba setki słodkich akwarelek pod takimi tytułami, malowanych przez pensjonarki z dziewiętnastego i pulchne kupcowe z dwudziestego wieku. Nie mówię już o oleodrukach.

PIOTR: — To właśnie pociąga mnie najbardziej. Mimo powodzi mieszczańskiego zachwytu, piękno zamku ostało się jednak. Płytki, mętny nurt ludzki obmywa od środka budowle z ciosanego kamienia jak od zewnątrz wody Lemanu. Odporność głazu zdumiewa mnie i zachwyca. Dlatego chyba tak lubię tam jeździć... Ale czy nie zauważyłaś, że zaproponowałem zawieszenie broni?

MARIA-KLARA: — Tak, ale na własnych warunkach.

PIOTR: — Jakież są twoje?

MARIA-KLARA: — Zapomniałeś, że mieliśmy się dziś wieczorem spotkać z moim architektem i jego żoną. To mili i kulturalni ludzie, zapewniam cię, że wymowniejsi od kamieni.

PIOTR: — Tego nie jestem taki pewien. Wymowność architektów jest dla mnie podejrzana, jeśli nie wyraża się mową ciosanego granitu, cegły, marmuru. Ale wiesz? Jestem dziś — wyjątkowo — skłonny do kompromisu. Zaproponujmy im wspólną przejażdżkę, gdzieś za miasto, na kawę...

MARIA-KLARA: — Na przykład w stronę Chillon?

PIOTR: —Właśnie.

MARIA-KLARA: — Niech i tak będzie. Ale nim odejdziemy, muszę ci przypomnieć, że nie odpowiedziałeś mi na jedno pytanie. Myślę o tym uśmiechu, gdy mówiłam o radościach życia dawnych mieszkańców zamku.

PIOTR: — Ależ nie zadałaś go wcale.

MARIA-KLARA: — To prawda. Zgubiło się gdzieś wśród dygresji.

PIOTR: — A jednak cała nasza rozmowa była — pośrednio — odpowiedzią na nie.

MARIA-KLARA: — Lub raczej stawianiem go na różne sposoby... Chodźmy już. Takie rozmowy nigdy się nie kończą.

Mieczysław Paszkiewicz

EWA GIERATOWA

Babie lato a.d. 2000

Liceum matematyczne, nowość reformy szkolnej. Oto teraz pierwszy rocznik szykuje się do matury. Jak też ten rocznik zdał trudniejszy egzamin dojrzałości, jak dał radę życiu, by całkować je, gdy się ciągle różniczkowało?

Z warszawskiej szkoły na Pięknej i spoza długich lat sześćdziesięciu, stanąłeś dziś, Schuppciu, koło starszej niż ty wówczas staruszki. Miłość, to najpotężniejsza energia: twoje ukochanie uczennic i swego zawodu naładowało widać akumulator, z którego światło pozwalało w ważnych chwilach życia analizować wartość poziomów i pionów. Obraz twój, gdy wymachujesz skrzyżowanym układem współrzędnych, dawno zatarł się w pamięci i dawno już żaden chór koleżanek nie odpowiada: „Do nieskończoności" — na zapytanie dokąd wyciągają się ramiona paraboli. Zresztą po szkole nikt przecież o to nie pytał wyraźnie. Ale zawsze pozostał w oczach ostro zarysowany krzyż, przecięcie w punkcie zerowym, od którego wszystko się liczy i zaczyna, plusy w górę, minusy w dół. Dzięki niemu można było nie tylko znajdować odpowiedzi, ale przed wszystkim stawiać pytania. Może to była jedna z głównych różnic między szkolnym a życiowym egzaminem dojrzałości, że trzeba było nie tylko umieć odpowiedzieć, ale wiedzieć o co pytać? Katarzyna stara się podsumować odpowiedzi. Na pytania już nie czas, pytać trzeba było z rana i w południe, nie wieczorem.

— Do nies...

— ...kończoności! — odpowiada chórem klasa.

Jak srebrna błyskawica na czarności nieba, na tablicy pojawia się teraz zamaszystym, pewnym ruchem Schuppcia wykreślona biała linia, która, zamiast piąć się do nieskończoności, spadać będzie do zera.

— Coś się tak zagapiła? Urzekły cię te jakieś hyperbole i parabole? — szepcze Danka popierając swe pytanie kuksańcem.

Ale Katarzyna nie odpowiada. Te krzywe i proste, te płaszczyzny i punkty zamykają w sobie ostateczność. Cóż za wybór: dążyć do nieskończoności lub do zera? I jak to się dzieje, że każdy literowo-cyfrowy wzór na tablicy wyrazić można kształtną linią, co z góry na dół i z lewa na prawo przegina się w sobie tylko znanych zasadniczych punktach, nieodwołalnie decydujących o jej losie, choć nie widać żadnego przełomu? Czy wie, że zmienia kierunek? Skąd się bierze i dokąd biegnie, czemu nie może przystanąć na chwilę, tylko wraz z przyrostem x-a na osi czasu, musi też zmieniać się pionowa wartość y-greka, by wspólnie, poziom z pionem, wyznaczyć właściwy punkt? Nikt nic na to nie poradzi, nikt nie zatrzyma, linia pędzi w przestrzeń, dąży i dąży... Do zera czy do Nieskończoności?

— Że też znowu myślę o tym pierwszym Poznaniu — półsennie marzy sobie Katarzyna. Szkolna scena hen sprzed drugiej wojny, najpierw ledwo zauważona, potem zagubiona w codzienności, w ciągu lat stała się niezwykle plastyczna. W epoce wielkich osobistych odkryć nabrzmiała ważnością i nie wiadomo kiedy Katarzyna ujrzała matematyczną ostateczność na tytułowej karcie księgi swego ziemskiego żywota. I teraz, gdy niedługo przyjdzie przewrócić kartkę ostatnią, Katarzyna znowu widzi białe parabole, srebrzystymi drutami przebijane na wylot tekturki-płaszczyzny, które tak zwany Schuppcio ustawiał na krzyż, wtajemniczając adeptki wiedzy w arkany rzutowania: oto dwa obrazy każdej bryły, rzut poziomy i rzut pionowy. Stary już był, skakał wokół tablicy, oczy mu się świeciły w świętym zapale, zdawał się ze skóry wychodzić, byle tylko te siedemnastoletnie kozy pojęły niesłychaną wagę niematerialnego punktu, absolutną pustkę zera, którego istnienia nie da się w żaden sposób pominąć, oraz siłę nieskończoności, przy dotknięciu której różniczkowe schodki upłynniały się w gładką, scałkowaną harmonię.

Parę dni temu, a pod wieczór się miało, właśnie jak w tej chwili, wysiadła na małej nieznanej stacji. Koniecznie chciała przyjechać po staroświecku koleją, nie żadnym autokarem, nie helikopterową taksówką z Gdyni. Nieznany Stach wpakował nieznaną babcio-wujenkę w zgrabną pół-ciężarówkę. Minęli z lewej strony cmentarz, potem droga skręciła w prawo i po chwili ukazał się kościół. To tu. Do sadu otaczającego dom wchodziło się zaraz z kościelnego placu. Katarzyna wie to wszystko, każdy szczegół niby się zgadza, ale przecież inaczej sobie wyobrażała. Wiedziała, że na stacji będzie pojazd mechaniczny, i że jakiś potomek nieznanej bratowej na pewno będzie miał na imię Stach. Tym niemniej konie pasowałyby jakoś lepiej do tego powrotu, a wujenka, czy raczej przyszywana babka z Ameryki, powinna się była może wydać temu Stachowi bardziej obca? Ale Stach praktykował rok w Indiach i rok w Chinach, wszystkie kraje widział na telewizji i nie odczuwał żadnej niezwykłości przejazdu przez Atlantyk. Poszerzyły się, poszerzyły horyzonty Kozlowa... Stach na pewno lepiej od Katarzyny wykreśla geometryczne zadania i umie wiązać czas z przestrzenią za pomocą praktycznych wzorów i tablic. Ale nie może przecież wiedzieć jeszcze, że ostatnią podróż w czasie odbywa się na całkiem innych niż przestrzenne zasadach, wedle uniwersalnego wzoru, do którego w ciągu lat wędrówki trzeba było nie tylko podstawiać własne wartości, lecz przede wszystkim przyjąć i nauczyć się operować wartością jedyną: Łaską.

Katarzyna kiwa siwiuteńką głową. Tu w sadzie w rzadkich chwilach odpoczynku siadywała Matusia. Prawda, prawda, Staś przecież tak ją właśnie nazywał: Matusia. Stąd, gdy przyjeżdżał do domu z Warszawy, słuchał grzmiącego z ambony proboszcza.

— Do kościoła, do środka nie chciało mi się wchodzić — wspominał. Ale niech-

by Katarzyna w Ameryce spróbowała nie pójść! Uważałby, że koniec świata.

— Nie istnieje dla mnie niereligijna kobieta — mawiał z przekonaniem, a Katarzynie robiło się ciepło w sercu, że dla niego istnieje.

I teraz jest ciepło w sercu, gdy tak całkiem inaczej patrzy się na jego i swoją egzystencję.

— A jak wygląda Stasiowe istnienie? — zdają się pytać sadzone jego ręką jabłonki i grusze. Katarzyna odpowiada im i sobie, że przecież nie „wygląda", że po prostu jest, że niedługo sama przekona się o pełnym znaczeniu tego słowa, gdy już jej t u nie będzie i gdy dopiero naprawdę b ę d z i e. Nie kiedyś, nie gdzieś, a zawsze i wszędzie, tam gdzie jasno i ciepło, jak teraz, gdy świetlisty promień przedziera się przez liście, a w jego blasku drżą srebrne nitki babiego lata, to rozciągnięte prosto między gałęźmi, to uczepione w jednym tylko punkcie i kołyszące się we wdzięcznym przegięciu, to znów niesione podmuchem, pozbawione oparcia, falujące zmiennie, by po krótkiej wędrówce, gdy tylko ustanie podtrzymujący je powiew, położyć się cicho na ziemi.

Wiek mija odkąd Antonina kołysała tu w sadzie swego najmłodszego syna i przy niedzieli szeptała różańcowe Zdrowaśki. Tu, właśnie dokładnie w tym miejscu, z którego przez otwarte drzwi kościoła widać wieczną lampkę. Wyblakłe zielonkawe oczy patrzą teraz ku ołtarzowi, na ten sam co przed wiekiem jasny punkt w mroku i Katarzyna z dumą wyciąga z torebki drewniane paciorki nanizane na wyglansowany ze starości sznurek.

— Patrz — zdaje się mówić — patrz, jak on tu pasuje, nigdy nie lubiłam plastykowych, czy ten nie jest podobny do twojego?

Może tak najlepiej byłoby zacząć rozmowę z Antoniną, ośmielić ją i zaraz zbliżyć się do niej? Antonina nigdy w życiu nie słyszała o żadnych współrzędnych ani wykresach, ale przecież wiedziała, że najkrótszą drogą między punktami jest linia prosta, umiała dobrze wybierać najważniejsze punkty, jak ten tu w sadzie, a przede wszystkim nie przyszło jej nigdy do głowy Boga szukać, skoro najprościej w świecie b y ł.

Siedząc na jej ulubionym miejscu i przebiegając oczyma ten sam odcinek wiodący ku gorącej czerwieni oliwnego płomyka, Katarzyna usprawiedliwia się, że może gdyby żyła tak blisko Jego domku, na prawdziwej żywej ziemi nie zaduszonej betonem, pod prawdziwym niebem nie schowanym za neonami, może nie próbowałaby sięgać ku Niemu poprzez parabole, różniczki z całkami, elektrony i gwiezdne mgławice? Ale teraz już nie trzeba nigdzie sięgać, niczego szukać, ani przedzierać się przez lata i przez mile. Wszystko jest na miejscu i zaraz.

Bo i cóż z tego, że na początku tego wieku jeździło się konnym tramwajem, a u jego zmierzchu kursują rakiety na księżyc — jeśli tak samo jak wtedy Antonina, teraz jej synowa siedzi sobie tu w sadzie wieczorną porą, przesuwa w myśli te same wieczne słowa i w palcach takie same gładkie paciorki, a wrześniowe słońce kładzie się miękko na jej pomarszczonych, zmalałych na starość dłoniach.

— Moje łapeczki — mówiła kiedyś Mama. A potem przez tyle lat szczęśliwych gładził te ręce Staś, niebieskością oczu — właśnie jak to niebo — uśmiechał się spod nastroszonych brwi, aż do tego dnia, jak to już dawno temu...

— Już niedługo się spotkamy, nie myślisz? Znowu będę Twoją Malusią, tam gdzieś nad różową chmurką...

— Nie bądź dziecinna, staruszko — wrodzona trzeźwość ściąga Katarzynę z miękkich obłoków na twardy pień zwalonego przed laty białodrzewu i z niebieskości ku zieleni, brązowiejącej już nieco i pożółkłej, ale jeszcze ciągle opierającej się jesiennym nocnym chłodom.

Promienie słońca grają na nitkach pajęczyn i poprzez tę drżącą srebrzystość Katarzyna znowu widzi białe wykresy na szkolnej tablicy i znowu przypomina sobie tę wówczas nieuchwytną a później wzrastającą pewność, gdy docierał do świadomości On. Jakiś promień Jego mocy, jak promień słońca, wpadł pewno tamtej wiosny przez otwarte okno do klasy, pogłaskał łysą głowę Schuppcia, odbił się na skrzyżowanych w jego dłoni srebrnych drutach i po tych osiach współrzędnych spłynął na Katarzynę. Ani wtedy, ani długo jeszcze nie wiedziała o tym. A teraz nieuchwytne jak babie lato wątki przesuwają się bezładnie, jakby na kilku naraz puszczonych filmach. Wszystko, co było kiedyś takie ważne — minęło, minęło i nie wróci. A słońce świeci, a strumień czasu płynie... Uniósł warszawskie dzieciństwo, skłębił się i zasyczał w bombach i pożarach pamiętnego września, przecisnął się przez Paryż, leniwie przesączył przez uniwersyteckie szkockie lata, lawirował wśród nadlondyńskich pocisków, kaskadą zdał się przefrunąć Francję i Włochy, w Wiecznym Mieście splótł ze sobą na wieczność dwa życia i potem statecznie niósł je, znowu przez powojenny już Londyn, długimi latami przez Nowy Jork... Tam dopiero, w szóstym, w dwunastym roku swego trwania, małżeństwo s t a w a ł o się. Cały świat zresztą dopiero wtedy jakoś zaczął ukazywać się w całości. I okazało się, że cienie są tylko po to, by podkreślać blaski, że na tle szarości tym żywiej występują barwy, a cała płaskość jest polem urodzajnym, na którym uwypuklają się kształty. Było to wtedy mniej więcej, gdy ruszyły pierwsze atomowe elektrownie, wyleciały w przestworza pierwsze na ziemi zbudowane planetki, a wiosny i jesienie w Brooksville czarowały kolorami i rześkością porannego spaceru do stacji. I już zaczynało się południe, minął zenit własnych odkryć, i choć wiele jeszcze pozostało przeżyć — wiadomo już było, że życie jak słońce musi toczyć się ku zachodowi, że jego wspólny strumień musi się znowu rozdzielić...

— Chyba, że razem zginiemy w wypadku samochodowym — dowcipkowali w przystępie dobrego humoru.

Nie, nie było żadnego wypadku. Obracało się koło polskich i światowych losów, przesypywały się dni w każdej człowieczej klepsydrze i oto te ostatnie ziarnka w piaskowym zegarze Katarzyny padają teraz cicho w to samo miejsce, z którego wyruszył w swą ziemską wędrówkę Staś.

— Że też ja wylądowałam w tym Kozłowie! Tak oto spięliśmy klamrą wiek dwudziesty... Gdybym jeszcze pociągnęła trzy latka, byłaby równo setka od 1903-ego, — oblicza sobie Katarzyna, uśmiechając się pobłażliwie do starego nawyku: żeby do końca, żeby do kropki, żeby pasowało i zgadzało się... Może tak to sobie już dawno ułożyła, może tylko nie mogła zebrać się na ten krok decydujący i dopiero gdy czas przynaglił, znalazła energię na odbycie tej dziwnej, bardziej w czasie niż w przestrzeni umieszczonej podróży? Pół świata objechać, ponad pół wieku zagranicą spędzić i wrócić — mieszczuchu jeden, co nie wiesz gdzie krowa ma ogon, jak kpił sobie Staś — nie do Warszawy, rodzonej, lecz już zupełnie obcej i sercowo pustej, a na tę wieś kielecką, gdzie też już przecież nie ma nikogo znanego choćby z opowiadania, ani domu, gdzie się Staś urodził... Tylko punkt. Miejsce to samo, przy kościelnym placu, na wprost wielkiego ołtarza. I ten kościół z wieżą, na którą Staś chciał ufundować bijący zegar, by daleko w polu widać było i słychać mijanie godzin. Jakoś nigdy nie doszło do tego i teraz dopiero Katarzyna wyładowała się w Gdyni z amerykańskim zegarem, który przypominać ma ciągle, że coraz mniej czasu każdemu zostaje, że mijają ludzie, zostaje tylko ziemia. Ziemia, a więc i cmentarz.

Na nim pewno leży ten Girard, wojak napoleoński, co wracając spod Moskwy tu pod Miechowem z ran się lizał, i żona jego kielecczanka, i syn, czyli prapradziadek. Tu pochowany jest dziadek, ten co to z sękatą lagą po wsi chodził i malutkiego Stasia za rękę prowadził. I matka, Antonina z domu Tabor, przeżyła lat 66 i potem ojciec Józef, przeżył lat 77. Przed drugą wojną umarli spokojnie i pogrzeb im sprawiono jak należy, z domu stojącego przy kościelnym placu i z kościoła, gdzie ślub brali, gdzie chrzczone były dzieci, gdzie żenili najstarszego Jana, Maryśkę za mąż wydawali i po kolei przy chrzcinach wszystkich siedmiu wnuków asystowali. Tylko ślubu najmłodszego Stasia nie doczekali się. Gdy zaczął o żeniaczce myśleć, wojna wyrzuciła go w świat, szukał żony po Londynach i Paryżach, chwała Bogu, że Polka chociaż... Ale o tym już rodzice nie wiedzieli. Ledwie by na starej mapie potrafili odszukać te wszystkie obce miasta, tę Amerykę daleką, gdzie ich Staś kształcony tyle życia spędził. Sami poza Kielce i Kraków z domu się nie ruszali, chyba, że do Częstochowy z pielgrzymką; po gospodarsku żywota dokonali — i w rodzonej kieleckiej ziemi spoczywają sobie pod tym krzyżem, największym na całym cmentarzu. Już tam pan inżynier przypilnował i z Warszawy specjalnie przyjeżdżał, żeby tylko grób rodziców był solidny jak się patrzy. Nie z marmuru, bo nietrwały i kruszy się, ale z tego szydłowieckiego kamienia, który — powiadają — ciągle twardnieje.

Czyżby przeczuł, przedziwnym jakimś instynktem, że za siedemdziesiąt lat ten nagrobek na kozłowskim cmentarzu stanie się dla jego wdowy pomostem przez Atlantyk, magnesem o sile przezwyciężającej wszelką logikę?

Katarzyna tęskniła, najpierw spontanicznie i patologicznie, potem logicznie, za Warszawą. Nigdy przecież za nieznanym Kozłowem. Tak mało o nim Staś opowiadał; sam wyfrunął stąd w młodości, pochłonęła go Grupa Techniczna, Młoda Wieś, potem była wojna, emigracja, potoczyło się wspólne życie, w którym daleki Kozłów odzywał się tylko świątecznymi życzeniami, wiadomością o płocie czy drenach, o ślubach, urodzinach i pogrzebach. Tu gospodarował siostrzeniec, a Katarzyna za oceanem nie nauczyła się nawet imion licznych ciotecznych wnuków. To ci, to tamci, pisali do kochanego wuja i wujenki, to tym, to owym posyłało się jakieś ciuchy, i tak płynęły lata.

O przyszłości osobistej nie mówiło się, przyszłość świata — to były mgliste spekulacje, standartowy temat rozmów, gdy przychodzili goście. Szybko, coraz szybciej migały zimy i wiosny, przynosząc nadspodziewanie mało niespodzianek. Oczywiście, że były zmiany i przeprowadzki, i podróże, ale te wszystkie ważne sprawy nie urastały do rzędu zasadniczych, nie wywracały niczego, oprócz gratów, do góry nogami. Każdy dzień przynosił nowe wartości y-greków i jasne to były okresy, gdy Katarzyna potrafiła je skrupulatnie odkreślać wedle pionowych plusów i minusów na osi; a czas odmierzał się sam równymi odcinkami na osi x-ów i linia życia kreśliła się nieustannie.

— Dałabyś już sobie spokój z tymi wykresami — tak dla porządku upomina się Katarzyna, z lubością wpatrując się w harmonię zaklętą w kształcie najbliższej srebrnej nitki. I aż topnieje z zadowolenia, że nie musi nikomu wykładać, że nikt oczyma ani postępowaniem o nic się nie pyta. Właściwie rzadko kto naprawdę żądał wyjaśnień, dlaczego więc usiłowała kiedyś tak wiele tłumaczyć? Z dziwną pasją chciała uchwycić wszystko w słowa, utrwalić na papierze, jakby w obawie, że ucieknie. Nie, nie tylko nie uciekało, ale rosło. Na papierze, czy tylko wypowiedziane, czy pomyślane, wszystkie słowa za dotknięciem jednego Słowa stawały się ciałem. Katarzyna wiedziała.

Słońce pochyla się niżej i promienie jego padają coraz bardziej skośnie. Niedługo schowa się najpierw za wieżę, potem za drzewa wokół plebanii. Niedługo człapiący zakrystian zaskrzypi kościelnymi drzwiami i odetnie widok na pełgające nad ołtarzem czerwone światełko, ostatni jasny punkt w zasięgu wzroku.

Katarzyna przymyka oczy i czeka aż na niebie pojawią się gwiazdy. A niebo jest liliowe i srebrne i ciemniejące i ciągnie się, ciągnie — tak samo to nadziemskie niebieskie jak i to międzygwiezdne czarne — do nies...

—...kończoności — odpowiada serce dzwonu uderzając na Anioł Pański i szemrzą schnące liście Stasiowego sadu, po którym snuje się wdzięcznie babie lato w kształt gładkich wykresów.

Ewa Gieratowa

PO ŁEPKACH

„USCHNIĘTA GAŁĄŹ"

PISALIŚMY kiedyś, że emigracja przypomina pochyłe drzewo, na które każda koza skacze. Przyjeżdża z Kraju jakaś zaniedbana biedusia, która całe życie spędziła w Pacanowie, nie licząc tygodnia w Kielcach, i zaraz na Liverpool Street Station oświadcza dygocącej ze wzruszenia rodzinie: „Zawiedliście nasze oczekiwania. Nie tak Kraj sobie wyobraża emigrację." Takie oświadczenie zapewnia obskakiwanie gościa i dogadzanie mu na wszelkie możliwe sposoby, byle tylko wywiózł najkorzystniejsze wrażenie o Polakach na obczyźnie. Starsze panie znad Wisły, Odry i Wieprza krytykują brak atmosfery, panowie — dobrych kompanów, podlotki — wesołych zabaw, młodzieńcy — życia intelektualnego, dziennikarze i publicyści — ideałów. W krajowej prasie komunistycznej, ufetowani po dziurki w nosie korespondenci odpłacają się banialukami o głupocie, nieudolności, ciemnocie i otępieniu emigrantów.

Mimo to jednak każdy Polak w Kraju marzy o wyjeździe do emigracyjnego Eldorado, a co trzeci bez pomocy krewnych zza granicy nie dałby sobie materialnie rady. Ci co przyjeżdżają w odwiedziny radzi by jak najdłużej pomieszkać u krewnych, aczkolwiek za swój obowiązek uważają krytykowanie gościnności emigrantów i wytykają im oschłość, brak serca, zapomnienie narodowych obyczajów, wynarodowienie, a także chciwość, wyrachowanie, skąpstwo, zaniedbanie w stroju i w mowie. W oczach gości podupadliśmy z kretesem pod każdym względem i nie ma dla nas żadnej nadziei.

W Kraju — powiada znakomita większość gości — jest życie, i zżycie, i czysta wyborowa, a dziennikarze i społecznicy nie omieszkają dodawać, że choć w jednej parze spodni, ale Polak w Kraju ma stokroć wyższe i gorętsze ideały niż emigrant. Cóż zresztą może zmienić emigracja? Co innego *my* w Kraju...

Ale to wszystko, co mówią goście z Polski (ma się rozumieć, nie wszyscy), nie umyło się do krytyk samych emigrantów, w szczególności, jeśli owi uważają się za młodych. Tyle że ci nie pomawiają starych emigrantów o brak uczuć i sentymentów, przeciwnie, o ich nadmiar, idący w parze z katastrofalnie rozwiniętą a postępującą dementią, licznymi przejawami starczych zaburzeń na tle sklerozy mózgu, o niewybaczalny brak akcentu oksfordzkiego i — mimo sklerozy — o przebiegłą chytrość w zwalczaniu młodych.

Innych wad dopatrują się zatem w emigrantach goście z Kraju, a innych tutejsi emigranci. Obie strony łączy jednak zgodność poglądu, że emigracja to „uschnięta gałąź" narodu, nie włączona w jego organizm ani nie posiadająca żadnego wpływu na jego życie. O słuszności tego poglądu przekonana jest — i to najuczciwiej — ogromna większość emigrantów.

Rzecz zrozumiała, że emigracji nie można przeciwstawiać w zasadzie narodowi na przyrodzonym obszarze jego życia. Polacy w Kraju i na obczyźnie mają zapewne te same zalety i te same wady, chociaż warunki egzystencji wpłynęły niewątpliwie na pogłębienie lub też zatarcie, a nawet utratę, pewnych przymiotów i pewnych ułomności charakteru. Spór o charaktery ludzi z Kraju i emigrantów wydaje się bezpodstawny, a podtrzymywanie go — co jest ulubionym tematem dziennikarskich felietonów i zwłaszcza listów do redakcji — dowodziłoby słuszności marksistowskiego poglądu, że „byt określa świadomość".

Problem jest zupełnie inny. Nie ten, jaka jest emigracja, ale czy posiada ona ambicję oddziaływania na sprawy narodu. To, i tylko to, może uchodzić za miarę jej wartości i przydatności dla narodu. Jeśli młody publicysta doradza emigracji bezczynność, „nie przeszkadzanie" „linii październikowej" to niezależnie od wątpliwej tezy politycznej, wysuwa absurdalny postulat emigracji bez oblicza, biernej, wyrzekającej się swych zadań i działalności, słowem postulat samounicestwienia się. **Wśród obcych można się albo wynarodowić albo pobyt swój wśród nich oprzeć na wierze i przekonaniu o jakimś konkretnym sensie i celu swojego oddalenia od ziemi ojczystej.** Nie ma emigracji bez idei. Są tylko wychodźcy, optujący na rzecz narodów, wśród których osiedli. Polak w Anglii, Francji, Stanach Zjednoczonych lub w Argentynie, któremu stały się obojętne zagadnienia **polityczne** kraju ojczystego, pozostał tylko z imienia Polakiem, choćby nawet należał do kasy oszczędności Tadeusza Kościuszki lub do towarzystwa śpiewaczego Chopina, choćby czytał co tydzień „Dobrego Polaka", a nawet dawał sute składki na cele patriotyczne. Emigrant to człowiek, któremu nie wolno utracić świadomości swej roli.

Emigracja może się mylić i błądzić. To mniejsza szkoda niż wyrzeczenie się swej roli, abnegacja polityczna w stosunku do własnego narodu. Jeszcze raz tedy musimy podkreślić, że początkową i podstawową racją emigracji jest czynny stosunek polityczny do własnego Kraju. Polityczny, a nie sentymentalny, kulturalny czy nawet historyczny. Bo te wszystkie zainteresowania najlepiej i najpełniej dają się zaspokoić w ścisłym związku z narodem, na własnej ziemi, a nie wśród obcych. Pobyt na emigracji można pogodzić z ambicjami narodowymi tylko przy założeniu, że na własnej ziemi stało się niemożliwym jawne i czynne wyznawanie i praktykowanie takich czy innych poglądów ideowo-politycznych. Z czego, rzecz jasna, nie wynika, że każdy kto dłużej lub krócej podróżuje po obcych krajach lub wyjeżdża czasowo na zarobek staje się odszczepieńcem. Więcej nawet, Polak na obczyźnie, który zwątpił w ideały polityczne emigracji nie przestał być pozornie Polakiem. Przestał tylko na pewno być politycznym emigrantem. Stoją przed nim dwie drogi: albo paszport obcy albo paszport warszawski.

Trzeba zrozumieć, że Polsce na obczyźnie potrzebni są nie tyle Polacy co emigranci polscy. Można się spierać, czy Polonia może wpływać skutecznie na losy narodu, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że emigracji politycznej nie można uważać za jego „uschniętą gałąź", gdyż istnieje ona tylko po to, aby służyć narodowi. W samym pojęciu emigracji politycznej mieści się czynna rola wobec ojczyzny.

Emigracja polityczna żyje w ciągłej łączności z życiem Kraju i przejmuje się jego losami. Unerwienia Kraju i emigracji są wspólne. Istnieją różne rodzaje i stopnie zainteresowań sprawami Kraju. Można czytać dokładnie „Twórczość", „Nową Kulturę" i „Dialog", można się pasjonować eksperymentami teatru Dejmka lub studium filmowego w Łodzi, a być zupełnie obojętnym i głuchym na los wsi polskiej, na dolę inteligencji, na trudności Kościoła. Co innego zainteresowanie, a co innego **przejęcie się** losem narodu. Być może, że przeciętny emigrant nie orientuje się dostatecznie w szczegółach gospodarki i kultury w Polsce, ale za to czuje on każdym nerwem radości, bóle i krzywdy narodu. Krótko mówiąc, uczestniczy w życiu ojczyzny, tak właśnie jak członki ciała w życiu organizmu, jak gałęzie i liście w życiu drzewa.

Emigracja polityczna zatem żyje losem Kraju, a równocześnie oddziałuje nań, może także stanowić pomost między Krajem a Zachodem (i odwrotnie), wreszcie oddziaływać w imieniu narodu na siły przychylne nam w świecie. Czyni to wedle miary swych możliwości.

Nie trzeba udowadniać faktu, iż emigracja zapatrzona jest w sprawy polskie do tego stopnia, że aż na wszystko w świecie patrzy polonocentrycznie, narażając się nawet na zarzut ideologii „getta".

Wpływ na naród i pomoc dla niego to wcale nie bagatelna fraszka. Na paczkach i zbiórkach się nie kończy. Ani na gościnie rodzin z Polski. Ani na kupowaniu i propagowaniu za granicą polskich towarów, dóbr kulturalnych, imprez, filmów, występów artystycznych. Dodać trzeba wpływ na dużej miary problemy gospodarcze i polityczne: na pożyczki amerykańskie, ustalenie opinii o nienaruszalności granicy zachodniej lub — w innej skali — wpływ na zwrot „skarbów wawelskich".

Emigracja mogłaby, i czyni to mniej lub więcej udolnie, przedstawiać we właściwym świetle problematykę polską światu wolnemu i na odwrót, oświetlać narodowi prawdziwe oblicze i zamierzenia Zachodu.

Ale i to nie najważniejsza rola emigracji. Służyć ma ona podtrzymywaniu w narodzie wiary w zmianę układu stosunków politycznych, a co najmniej w ich ewolucję, zaś wśród obcych świadczyć, że naród polski nie pogodził się ze swym politycznym położeniem. Ileż szkód w świecie mogłoby wywołać pogodzenie się emigracji z losem Polski lub — co gorsza — głoszenie, że narzucony narodowi ustrój i porządek odpowiada ambicjom i potrzebom narodu! Po pierwsze, gdyby tak było, Amerykanie nie daliby Polakom ani grosza pożyczki.

Konsekwencją emigracji w świecie wolnym powinna być jasna i zdecydowana orientacja zachodnia w polityce. Niestety, wydaje się, że głównym błędem polityki emigracyjnej jest właśnie brak takiej koncepcji. Przykro stwierdzić, ale politycy emigracyjni albo zasklepiają się w egocentryzmie polskim albo ześlizgują się w służalstwo. Trudno doprawdy dostrzec chociażby teoretyczny zarys programu konsekwentnej i niezależnej polskiej polityki zachodniej, poza ogólnym hasłem „My z Zachodem". To tylko głos instynktu, a nie polityka. Polityka emigracyjna powinna mieć ambicję uczestniczenia, choćby w charakterze doradczym, w decyzjach polityków zachodnich, a w tym celu trzeba sobie utorować drogę znajomością zarówno polityki zachodniej jak świadomością własnych celów i umiejętnym przekonaniem obcych o pożytku sprawy polskiej dla nich.

Natomiast istnienie dużej i na ogół zwartej emigracji posiada wpływ na Kraj, i to nie tylko przez podtrzymywanie nadziei narodu na zmiany, lecz również przez wpływ konkretny na rzeczywistość polityczną. Polityki reżymu nie można uważać wyłącznie za dyktat sowiecki. Nie można jej również uznawać za pełną i konsekwentną realizację „polskiej drogi do socjalizmu". Jest ona bowiem wypadkową i sowieckich postulatów, i założeń polskich komunistów, i woli narodu, i względu na emigrację. Można by utożsamić wolę narodu z wolą emigracji, ale jeśli to komuś nie odpowiada, niechże przynajmniej nie przeczy, że wzgląd na emigrację gra poważną rolę w postępowaniu reżymu w Polsce. Dość porównać stosunek do emigracji za Stalina i Bieruta z tym, co się dzieje za Chruszczowa i Gomułki i przyjrzeć się olbrzymiemu aparatowi poświęconemu problematyce emigracyjnej. Dialog z emigracją prowadzi reżym kierując się nie do swych posłusznych agentów i stronników, lecz do emigrantów prawdziwych, „niezłomnych". Można rzec nawet, że istnienie i polityka emigracji są pomocą dla tych wyznawców „Października" w Kraju, którym nie obca jest polska racja stanu. Emigracja wpływa nie tylko na naród, ale i na reżym. Opór narodu przeciw zupełnemu skomunizowaniu bierze swe natchnienie m.in. z poglądów emigracji, i dlatego reżym nie tylko z nimi ciągle polemizuje, ale się także z nimi liczy. Reżym Gomułki wyrzekł się w swej polityce wobec emigracji całkowicie propagandy ideologicznej i kto wie, czy mu nawet odpowiadają arcygorliwe wystąpienia niezrównoważonych woluntariuszy emigracyjnych? Wszystko wskazuje, że nawet reżym uważa emigrację za potrzebny czynnik polityczny, do czego, oczywiście, jawnie się przyznać nie wypada, natomiast pewni publicyści i pewne koła emigracyjne rozkazują emigracji „nie przeszkadzać". Czy jakie takie położenie Kościoła w Polsce, przekreślenie terroru wobec obywateli lub zachowanie prywatnej własności na wsi nie są także po części wynikiem liczenia się z emigracją, która jest rzeczniczką spraw polskich w świecie?

Nie będziemy tu wyważać otwartych drzwi dowodzeniem, że prawdziwie wolna twórczość polska może się dziś rozwijać tylko na emigracji.

Wreszcie ostatnia wątpliwość: że emigracja nie ma wpływu międzynarodowego na położenie sprawy polskiej. Obecnie nie ma, to prawda, może jednak nadejść chwila, gdy wpływ ten uzyska. Ale czy reżym, powiedzmy nawet Polska dzisiejsza, ma na swe położenie wpływ o wiele większy?

Emigracja jest jakby rezerwą w obecnym położeniu Polski. Może przyjść do głosu, a z jej istnieniem musi się liczyć każdy wróg i każdy przyjaciel Polski. Dlatego emigracja, mimo wielu swych wad, błędów i zaniedbań, nie jest wcale „uschniętą gałęzią", lecz żywą cząstką narodu. Bez niej naród polski byłby kaleki.

J. B.

„KRASIŃSKI ŻYWY"

KALENDARZ — okazuje się — jest najwalniejszą pomocą w wyrażaniu uczuć. Rocznice wyzwalają z ludzi utajone złoża myśli, radości i smutków, nowe pomysły i energię, zarówno w życiu prywatnym jak społecznym. Potrzebie manifestowania patriotyzmu najlepiej sprzyjają rocznice, tym uro czystsze im okrąglejsze. To samo dotyczy kultu wielkich mężów. W setną rocznicę śmierci Mickiewicza emigracja zdobyła się aż na trzy poważne wydawnictwa: zebrane pisma poetyckie Mickiewicza, filologiczną księgę profesorów i „czytankę" pt. „Mickiewicz żywy". Jej redaktorka i autorka pomysłu, śp. Herminia Naglerowa, postanowiła nagiąć styl tej książki zbiorowej do własnego przeżycia z więzienia sowieckiego. Pisarze mieli więc w tym tomiku opowiedzieć o bezpośrednim wpływie poezji Mickiewicza na ich życie, o bliskich i intymnych z nią związkach. „Mickiewicz żywy" zatem to książka nie o Mickiewiczu, lecz zwierzenia pisarzy o ich związkach i obcowaniu z poezją Mickiewicza, interesująca antologia-czytanka, w której znalazło się także trochę miejsca dla filologii i nie najmniejszy margines dla grafomanii.

Podobny charakter miał także drugi tom Naglerowej pt. „Wyspiański żywy", może jeszcze bardziej serdeczny niż Mickiewiczowski, gdyż wśród autorów znalazło się parę osób, które znały naprawdę żywego poetę. Tom ten dowiódł, że najwłaściwszym przedmiotem koncepcji Naglerowej byłyby książki zbiorowe poświęcone wybitnym pisarzom niedawno zmarłym.

Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie uznał pomysł Naglerowej za doskonały i postanowił rozwinąć go w serię. Jako trzeci wyszedł „Conrad żywy" pod redakcją dra Wita Tarnawskiego, najlepszy w serii, gdzie redaktor ze znawstwem i miłością umiał rozdzielić role i obok zapalonych wypowiedzi wyznawców zamieścić znakomite szkice krytyczne oraz ujawnił sporo świeżych filologicznych odkryć.

Czwartym tomem Związku Pisarzy na Obczyźnie jest „Krasiński żywy".*)

Ma on zupełnie inny charakter niż trzy poprzednie z tej serii. Jest to typowa księga zbiorowa o założeniu i treści historyczno-literackiej, pozbawiona do cna, przynajmniej w założeniu, impresji osobistych, a nawet, co jej wyszło na dobre, bełkotu okolicznościowych wierszowań.

Tom przynosi sporo cennego materiału, ale Krasiński w nim żywy bynajmniej się nie ukazuje, a to z dwu powodów. Po pierwsze, redaktor książki, Władysław Günther, trzeźwy historyk literatury, dobrał autorów spośród filologów i inspirował ich w kierunku poszukiwań historycznych i komparatystycznych, w słusznym w zasadzie przekonaniu, że rzetelna wiedza jest więcej warta od egocentrycznych impresji, tym samym jednak odszedł od koncepcji serii tomów Związku Pisarzy, przy czym, niekonsekwentnie, zamieścił w tomie kilka prac bez żadnej wartości nie tylko filologicznej, ale i literackiej. Po wtóre, niemal wszyscy autorzy przybrali wobec Krasińskiego stosunek chłodny, krytyczny, surowy, czasem nawet ironiczny. Zdumiewający jest ten protekcjonalny ton wobec poety, który jeśli nie bardziej, to tyleż co Mickiewicz zaważył na wyobraźni i uczuciach narodu w XIX stuleciu, znakomitego dramaturga, natchnionego poety i prozaika, głębokiego myśliciela, poważnego erudyty, myślącego publicysty i niezrównanego kronikarza współczesności (w listach). Oczywiście, można i należało pokazać także błędy, słabości i śmieszności Krasińskiego, do czego starczyłaby świetna praca krytyczna prof. Ignacego Chrzanowskiego, ale zaiste dziwna to księga dla uczczenia poety, w której co najmniej piętnastu z dwudziestu autorów rozwodzi się nad jego wadami, przywarami i ułomnościami. Miał ich, oczywiście, Krasiński wiele, ale chyba nie więcej niż inne nasze znakomitości pisarskie. Miał natomiast tyle i tak wspaniałych zalet, że rekompensowały one dostatecznie jego wady. Niestety, pisarze polscy na obczyźnie uparli się w stulecie zgonu Krasińskiego wypominać mu tylko braki jego pióra i charakteru. Owszem, „Krasiński żywy" to cenna praca zbiorowa filologów, jeśli spuścić zasłonę na parę wypowiedzi prymitywnych, ale to w żadnym razie nie jest „uczczenie" trzeciego wieszcza.

Gdybyż ci skwapliwi krytycy, którzy odmawiają Krasińskiemu talentu pisarskiego i głębi myśli, umieli spojrzeć trzeźwo na styl i głębię swoich własnych wypracowań, albo gdyby ci oskarżyciele poety z powodu rzekomo płytkiego jego katolicyzmu, choć raz sami wzięli katechizm do ręki! A już nic bardziej irytującego, jak wydawanie cenzurek o poglądach i przewidywaniach politycznych sprzed wieku z horyzontu dnia dzisiejszego.

Oczywiście, bezkrytyczny entuzjazm też nie załatwia sprawy. Zachowaj nas, Panie, od wielbicieli piszących w takim stylu: „Przedświt — oglądany od strony ściśle wizyjno-poetyckiej — to zbłękitniona metafora falującej dali świetlistej jeziora, posłusznej w rytmie biciu serca i oddechowi myśli radosnej, wyzwalającej."

Tym sposobem Krasiński w stulecie zgonu nie doczekał się od emigracji, bo od Kraju doczekać sę nie mógł, należnego mu hołdu i uznania. Najwłaściwiej byłoby wydać możliwie obszerny wybór jego pism, niestety, skutkiem przesadnej gorliwości w wyrywaniu sobie pomysłów jeden z wydawców emigracyjnych zapowiedzi na czas nie spełnił i zapewne już nie spełni, a drugi przedwcześnie ustąpił. Zawstydzającą krzywdę może choć w części zastąpi przedruk powieści Aliny Świderskiej, wydanej tuż przed wojną i entuzjastycznie ocenionej przez prof. Kleinera, która wyjdzie niebawem nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego ‚Veritas".

Powiedziawszy już, co leżało na wątrobie, można tylko wyrazić podziw dla talentu redaktorskiego Wł. Günthera, chociaż polonisty, ale z zawodu dyplomaty, dla pracowitości szeregu filologów, którzy z tematu wydawałoby się wyżyłowanego potrafili wydobyć mnóstwo interesujących szczegółów. Celując gdzie indziej Związek Pisarzy upolował naprawdę dobry tom historyczno-literacki, jaki właściwie powinno wydać Polskie Towarzystwo Naukowe. Wielka szkoda, że wśród autorów nie znaleźli się inni poloniści i historycy polscy i obcy, a wśród nich zwłaszcza Marian Kukiel i nieodżałowanej pamięci wydawca listów Krasińskiego, ś.p. prof. Adam Żółtowski.

Od razu trzeba tu powiedzieć, że jedno zagadnienie, tj. stosunek Krasińskiego do religii i Kościoła katolickiego, książka Günthera zamiast wyjaśniać — gmatwa. Stało się to skutkiem uroczych zresztą, lecz wysoce przekornych wypowiedzi Ignacego Chrzanowskiego oraz — zwłaszcza — skutkiem namiętnej, zatem pozanaukowej i nieuzasadnionej diatryby Szawła historii literatury polskiej, jeśli nie adwokata diabelskiego w sprawach religijności poetów, prof. Claude Backvisa. Tym razem poza wykpie-

---

*) **Krasiński żywy.** Książka zbiorowa wydana staraniem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie z okazji 100 rocznicy śmierci poety. Redaktor: Władysław Günther. Stron 320 + 12 wkładek kredowych z portretami i facsimile autografów poety. Obwoluta Zygmunta Turkiewicza. **B. Świderski,** Londyn 1959. Cena: broszura 30/- lub $4.25, oprawa reksynowa 35/- lub $5.00.

niem katolicyzmu Krasińskiego prof. Backvis dał nam niezbyt wiele.

Książkę otwiera felieton okolicznościowy (gawęda) prezesa Związku Pisarzy na Obczyźnie, Wiesława Wohnouta, wyróżniający się sprawiedliwym szacunkiem dla poety.

Ogłoszony po raz pierwszy drukiem obszerny urywek nie doprowadzonego do końca studium prof. Chrzanowskiego pt. „Osobowość Krasińskiego", wydobyty z papierów pośmiertnych przez córkę Profesora i przygotowany do druku w książce emigracyjnej przez prof. Pigonia, przenosi czytelnika w czasy wielkiej polonistyki ukazując mu, co to znaczy jasność i treściwość wykładu, myśli i stylu, przejrzystość kompozycji i głęboka erudycja, której osiągnięcia podaje się w lekkiej formie, a przede wszystkim celna synteza. Trzy szczególne zalety rzucają się w oczy przy czytaniu prac prof. Chrzanowskiego: prostota wysłowienia, umiejętność historycznego spojrzenia na ludzi i sprawy, wreszcie łagodność i elegancja sądów. Chyba tylko pozytywistyczne rozrachunki z Kościołem nie bardzo się godzą z rozważaniami o osobowości Krasińskiego. W każdym razie, rzecz prof. Chrzanowskiego jest ozdobą i najcenniejszą pozycją książki.

Redaktorzy tomów zbiorowych nie powinni dopuszczać do podejmowania tych samych tematów przez dwu, a tym bardziej przez kilku autorów, jak również winni czuwać, aby w ich wypowiedziach nie było sprzeczności. Nie ustrzegł się tego w pełni Wł. Günther i np. w pięknym szkicu Jadwigi Otwinowskiej „Ojciec i syn" powtarza się wiele szczegółów wyłożonych w przejrzystym portrecie literackim Krasińskiego pióra redaktora książki.

Najcenniejsze z punktu widzenia filologii polskiej, poza studium prof. Chrzanowskiego, a zarazem najwzorowiej napisane, wydają się prace: Marii Danilewiczowej „Zmienne koleje przyjaźni" (sylwetka H. Reev'a na podstawie starych i najnowszych źródeł angielskich oraz świetna analiza korespondencji z Krasińskim), Władysława Folkierskiego „Nieboska komedia w perspektywie XX wieku" (o źródłach problematyki społecznej „Nieboskiej komedii", o prawzorach jej postaci, wreszcie o jej kompozycji), Oskara Haleckiego „Krasiński jako filozof historii" (ocena historiozoficznych koncepcji poety podług kryteriów prawdziwie historycznych, dająca świadectwo o nieprzeciętnej erudycji Krasińskiego) oraz Ireny Gałęzowskiej doskonale napisana i zgrabnie zbudowana rozprawka pt. „Anonimowy donator" — o hojnej ofiarności Krasińskiego na społeczne cele emigracyjne, potrącająca też o jego ogólny stosunek do emigracji. Tych czworo — dwóch znanych w świecie profesorów i dwie przedstawicielki młodszego pokolenia naukowego — dało przykład, jak ogromne możliwości stoją przed badaczami polskimi na obczyźnie, jeśli tylko wiedzą, z jakiej strony zabrać się do rzeczy. I co szczególnie krzepiące, to pokaz, że można wiedzę łączyć z jasnością stylu i z felietonowym niemal polotem, co zwłaszcza wyróżnia pracę Marii Danilewiczowej.

Bo i Wiktor Weintraub w rozważaniach o „Legendzie" i Wacław Lednicki w zestawieniu poglądów Tiutczewa i Krasińskiego zajęli się tak szczegółowo bagażem dowodowym, że zaniedbali formę swych szkiców.

Na uwagę wreszcie zasługują dwa drobiazgi: miłe „Wspomnienia rodzinne" Edwarda Raczyńskiego i trafny sąd Leopolda Kielanowskiego o fałszywej interpretacji „Nieboskiej" przez Schillera.

Trzy listy Krasińskiego (do Adama Sołtana) ze zbiorów Adama Sierakowskiego, opublikowano po raz pierwszy w całości (i sfotografowano) w tomie Związku Pisarzy, ale treść wszystkich trzech znana było filologom, a ich urywki przytaczane.

Podkreślić trzeba staranny dobór materiałów ikonograficznych.

W przedmowie Wiesław Wohnout podziękował redaktorowi książki, współpracownikom i wydawcy Bolesławowi Świderskiemu — gorąco, po imieniu i nazwisku — natomiast nie trudził się wyliczeniem kilku „osób dobrej woli", które pośpieszyły z pomocą materialną wydawnictwu. Odesłał czytelników do przedostatniej, nie numerowanej, strony tomu, gdzie figurują nazwiska pp. Niny Robinsonowej, Juliana Godlewskiego, Mateusza Grabowskiego, St. Jóźwiaka, St. Radziwiłła, Tadeusza Zabłockiego i Stefana Zamoyskiego. Miejsce zamieszczenia obu podziękowań wydaje się największym błędem w kompozycji książki. Kolejność ich bowiem winna być odwrócona. W ogóle, w coraz opłakańszych warunkach wydawniczych na emigracji nazwiska mecenasów winny być umieszczane tuż pod nazwiskiem autorów. Przypomni to niezłą tradycję, kiedy poeci nie wahali się nazwisk swych dobrodziejów umieszczać w wierszach, nazywając ich „słodką ozdobą", „dulce decus meum". Potomność zaś jedno z tych imion własnych przyswoiła sobie jako imię pospolite.

J. B.

HISTORIA KOMUNIZMU NA ZIEMIACH POLSKICH

Nie jest przypadkiem, że pierwsze gruntowne opracowanie historii komunizmu w Polsce*) ukazało się poza jej granicami. Historia Komunistycznej Partii w ogóle jest przedsięwzięciem niełatwym, ale bodaj trudniejsze są współczesne wysiłki komunistów, by wykazać, że obecna linia partii opiera się na głębokich tradycjach a jej kierownicy są godnymi uczniami swych wielkich poprzedników.

Trudności te są szczególnie wielkie w odniesieniu do Polski. Dążenie do gloryfikowania partii, która przez długie lata zwalczała koncepcję powstania niepodległego państwa polskiego, zmusza historyków oficjalnych do maksymalnego podkreślania izolowanych poczynań, odbiegających od generalnej linii.**) A przecież niemal wszystkie kongresy Komunistycznej Partii Polskiej w okresie przedwojennym odbywały się w Moskwie, przywódcy zaś zajmowali jednocześnie wysokie stanowiska w partii bolszewickiej i G.P.U.

Udowodnienie stałej i bezinteresownej pomocy Związku Sowieckiego jest przedsięwzięciem równie karkołomnym. Trudno jest o pomocy mówić w związku z najazdem na Polskę w r. 1920. Nie przekonywuje pomoc okazywana elementom mniejszościowym starającym się oderwać od Polski Śląsk, Pomorze, Lwów czy Wilno. Agresja z 17 września 1939, wymordowanie oficerów polskich w Katyniu, masowe deportacje i aresztowania, aneksja polskiego terytorium, muszą być pominięte wstydliwym milczeniem.

Sposób dojścia do władzy komunistów nie może też przynieść chluby partii, reprezentującej rzekomo szerokie masy. Korzystając z cichego porozumienia hitlerowsko-bolszewickiego celem stłumienia powstania warszawskiego, grupa komunistów z Bierutem, Bermanem, Osóbką-Morawskim (uchodzącym oficjalnie za socjalistę) i Wandą Wasilewską na czele ustala pod ochroną bagnetów Czerwonej Armii swój rząd w Lublinie. Prześladowanie żołnierzy Armii Krajowej i udział w organizowaniu armii i policji, oto najważniejsze formy pomocy sowieckiej dla „rządu" polskiego... Bez należytego oświetlenia wszystkich tych faktów, nie można dziś pisać historii partii komunistycznej w Polsce.

Książka prof. M. K. Dziewanowskiego, wybitnego specjalisty, pracującego w bezpośrednim kontakcie z najlepszym ośrod-

*) M. K. Dziewanowski: „The Communist Party of Poland. An Outline of History. Russian Research Center Studies 32; Harvard University Press, Cambridge, Massachusetts, 1959, 369 p.

**) „K. P. P. w obronie niepodległości Polski: materiały i dokumenty", Warszawa, 1953.

kiem badań sowieckich na Zachodzie, jakim jest „Russian Research Center" uniwersytetu w Hawardzie, jest dokumentem niezwykłej wagi, wszechstronnie i źródłowo opracowanym. Wśród bogactwa materiału — daje odpowiedź na trzy pytania, szczególnie ważne dla czytelnika polskiego: Jakie były powody systematycznego zwalczania niepodległości Polski przez komunistów? Kiedy i z jakich powodów stanowisko to zostało odrzucone? Jakie są widoki na utrzymanie „polskiej drogi do socjalizmu" w ujęciu Gomułki?

Niechęć komunistów w stosunku do idei niepodległości Polski datuje się jeszcze z okresu rozłamu w ruchu socjalistycznym na ziemiach polskich w końcu XIX wieku. W 1892 r. założona została w Paryżu Polska Partia Socjalistyczna, z inicjatywy Bolesława Limanowskiego. Program tej partii był polską wersją erfurtskiego programu niemieckiej partii social-demokratycznej z tym, że niezależność socjalizmu polskiego od ruchów socjalistycznych państw zaborczych, a w szczególności rosyjskiego, została podkreślona, a niepodległość Polski uznana jako jedno z podstawowych żądań partii.

Przeciw walce o niepodległość Polski wystąpiła frakcja kierowana przez Różę Luxemburg, Juliana Marchlewskiego (Karskiego) i Leona Jogichesa (Tyszko). Frakcja w 1893 roku utworzyła „Social-Demokrację Królestwa Polskiego". W samym tytule nowej partii widoczna była zasadnicza różnica poglądów. Róża Luxemburg i jej towarzysze uważali się nie za polskich socjalistów, a za socjalistów działających na ziemiach byłego Królestwa Kongresowego włączonego do Rosji. Konsekwentnie więc uważali, że socjaliści narodowości polskiej winni wejść w skład ruchów socjalistycznych państw zaborczych i że Social-Demokracja Królestwa Polskiego może najwyżej pretendować do pewnej autonomii w obrębie rosyjskiego ruchu socjalistycznego. Uzasadniano to stanowisko argumentami zapożyczonymi z arsenału marksistowskiego (wbrew zresztą stanowisku Marksa i Engelsa, którzy tradycyjnie popierali niepodległość Polski), jak pierwszeństwo walki klas, bezpośrednie przejście od kapitalizmu do socjalizmu, zanik aparatu panstwowego. Róża Luxemburg podkreślała ponadto gospodarcze korzyści, jakie by Polska utraciła w wypadku odłączenia od Rosji. Argumenty oficjalne miały na celu pozostawianie w cieniu szeregu innych, mniej wygodnych do poruszenia. Aspiracje Róży Luxemburg, Jogichesa, Radka, Dzierżyńskiego, Marchlewskiego — sięgały poza obszar Polski. Myśleli o roli w rewolucji światowej, a przynajmniej europejskiej. Wychowani w państwach zaborczych, z dala od tradycji kulturalnych polskich (Róża Luxemburg, Jogiches, Warszawski, Radek-Sobelson, wychowani byli w rodzinach żydowskich, częściowo zrusyfikowanych (Jogiches) lub zniemczałych; Marchlewskiego wychowała matka Niemka), nie widzieli celu w walce o niepodległość narodu, który był im obcy. Skrajne stanowisko komunistów polskich stało w sprzeczności z programem partii bolszewików. Lenin uważał, że hasło samostanowienia narodów jest potężną dźwignią rewolucyjną, szczególnie dla uciemiężonych narodów imperium rosyjskiego, i nie chciał pozbyć się tego atutu. Stanowisko komunistów polskich, przeciwne samostanowieniu kraju, w którym żyli, było krytykowane przez Lenina już w 1905 roku i później w latach 1917-1919.

Lenin i Stalin używali również hasła samostanowienia narodów do pociągnięć taktycznych, jak hasła wolnej Ukrainy, Białorusi, Gruzji, czy początkowych sloganów „władza dla rad" i „ziemia dla chłopów". Po odzyskaniu niepodległości przez Polskę nietrudno więc było Leni-



Autor zarysu historii polskiej partii komunistycznej, prof. dr Marian Kamil Dziewanowski, wykłada historię na katolickim uniwersytecie w Bostonie. 7 lat trwającą pracę nad książką rozpoczął w Russian Research Centre w Harvard. Kończył ją po podróży do Polski w roku 1958, gdzie objechał z odczytami o Ameryce ośrodki uniwersyteckie.

Prof. Dziewanowski, „białańczyk", studiował na Uniwersytecie Warszawskim (mgr praw), jako dziennikarz pracował w Centrali Prasowej Związku Polaków w Niemczech; był korespondentem PAT-a w Berlinie; walczył i był ranny w kampanii wrześniowej; uciekł z internowania na Litwie; służył w PSZ; zrobił doktorat z historii na uniwersytecie w Harvard; członek PRW NiD i federalista.

Jest współautorem książek, m. in. „The communist take over in Eastern Europe"; ogłosił wiele artykułów m. in. w pismach: „Kultura", „Wiadomości", „Problems of communism", „Slavonic Review", „American Slavic & East European Review", „Journal of Central European Affairs", w wydawnictwie „World Book Encyclopedia" etc.

nowi i Stalinowi wykazać błędy Komunistycznej Partii Polski i uznać niepodległość Polski jako etap konieczny do rewolucji światowej. Jednocześnie, Lenin i Stalin, zabiegali o podporządkowanie Komunistycznej Partii Polski, poprzez aparat Trzeciej Międzynarodówki, przygotowując w ten sposób teren do przyszłej „niepodległości" Polski typu stalinowskiego. Komuniści polscy zajmowali wysokie stanowiska w administracji sowieckiej. Dzierżyński i Unszlicht kierowali przez długi czas sowieckim G.P.U., a Leński, przyszły sekretarz K.P.P., kierował referatem polskim w Komisariacie Narodowości pod bezpośrednimi rozkazami Stalina. System działaczy profesjonalnych, obowiązujący w KPP, wprowadzał automatyczną zależność od moskiewskich mocodawców całego aparatu czynnego w Polsce.

Najlepszą ilustracją stalinowskiego typu niepodległości były rządy Bieruta w latach powojennych. Rządziła partia komunistyczna pod bezpośrednią kontrolą sowieckich „doradców" w policji i w armii, z marszałkiem Rokossowskim na czele. Zależność polityczna łączyła się z eksploatacją gospodarczą. Represje polityczne nie omijały nawet członków partii; los Gomułki miał być podobny do losu komunistów polskich likwidowanych w Moskwie w latach 1933-1937.

Niepodległość typu stalinowskiego mogła odpowiadać jedynie komunistom wychowanym na tradycjach Róży Luxemburg i K. P. P. oraz przeszkolonym w Związku Sowieckim. Przewaga elementu „nie-polskiego" wśród tych kadr miała być gwarancją, że interes Polski będzie zawsze podporządkowany Związkowi Sowieckiemu. Gwałtowny jednak rozrost partii po wojnie, uzyskany częściowo dzięki fuzji z „lojalnymi" elementami Polskiej Partii Socjalistycznej, podważył dominację agentów wyszkolonych w Moskwie. Krzywdy doznane od Sowietów i zbyt pewne siebie zachowanie się Rosjan w Polsce potęgowały poczucie narodowe w społeczeństwie polskim i rozbudzały je w łonie samej partii komunistycznej. Doszło do tego, że masa komunistów polskich wzięła stalinowskie pozory niepodległości Polski za rzeczywistość i domagała się ich wprowadzenia w życie. Tym należy tłumaczyć ferment, jaki powstał po potępieniu kultu Stalina i po śmierci Bieruta oraz ponowne dojście do władzy Gomulki, jako obrońcy polskiej drogi do socjalizmu.

Objęcie władzy przez Gomułkę nie zmieniło niekorzystnego geograficznego położenia Polski, która ciągle znajduje się „w komunistycznym okrążeniu". Groźba interwencji sowieckiej i odmowa pomocy ze strony Zachodu zmusiły rząd Gomułki do podporządkowania kolejno szeregu swych atrybutów polityce sowieckiej, przede wszystkim w dziedzinie polityki zagranicznej. Tylko dzięki temu podporządkowaniu możliwe było utrzymanie pewnej autonomii w dziedzinie polityki wewnętrznej, w stosunku do Kościoła katolickiego, w sprawie kolektywizacji wsi i systemu zarządzania przemysłem. Nie można jednak nie zgodzić się z prof. Dziewanowskim, że pozycja Gomułki jest szczególnie chwiejna. Presja sowiecka ogranicza ściśle możliwości liberalizacji, a fałszywe pociągnięcia w polityce wewnętrznej, czy to w stosunku do Kościoła, czy np. w stosunku do wsi, mogą spowodować wybuch o konsekwencjach nieobliczalnych.

Książka prof. Dziewanowskiego, napisana z wielkim talentem, wzbudza też szereg reflekcji na temat trwałości haseł rzucanych dzisiaj przez komunistów. Czy obecne patriotyczne stanowisko w sprawie obrony niepodległości Polski i w sprawie granicy na Odrze i Nysie ostanie się w wypadku zmiany polityki sowieckiej?

Adam Kłodzki

PRZEDE WSZYSTKIM: „JEŹDZIEC"

Oglądając wystawę grafiki polskiej w Galerii Grabowskiego nie przypuszczałem, że przyjdzie mi pisać o niej recenzję. W takiej sytuacji patrzy się nieco inaczej i odmiennie kształtuje wrażenia. Bardziej nieoficjalnie. Na prywatny użytek. Recenzent z obowiązku usiłuje zobaczyć wszystko. Często z wyraźnym nastawieniem: uprzedzeniem czy inklinacją. Stosunek taki — nieraz podświadomy — wpływa na sam sposób patrzenia. Skądinąd zwiedzając jakiś zbiór dzieł sztuki dla siebie samych zauważamy mniej (jeśli nie w głębokim to w „szerokim" znaczeniu). Recenzent powinien zwrócić uwagę nie tyko na to co jego samego interesuje, ale i na to także, co zainteresować może czytelników recenzji. Robi więc notatki na marginesach katalogu w obawie, by mu jakieś przelotne wrażenie nie „uciekło" po powrocie do domu; stara się wyrobić sobie zdanie o możliwie największej ilości eksponatów, o wszystkich — w miarę możności — artystach biorących w wystawie udział.

Jeżeli więc w uwagach poniższych będą rażące kogoś pominięcia, jeśli wyrażone opinie wydadzą się nazbyt osobiste, wina to (a może odrobinę i zasługa) mojej nieświadomości i czyjegoś łagodnego podstępu.

Pierwsze wrażenie, jakie odniosłem wchodząc do ładnie, pomysłowo urządzonych sal galerii, było wrażeniem czegoć znajomego, niemal swojskości. Nie wywołała go jednak bynajmniej narodowa odrębność pokazanych prac — ich polskość. Przeciwnie: tej na pierwszy rzut oka wcale nie zauważyłem. Od szeregu lat oglądam wiele wystaw prac studenckich urządzanych co najmniej raz na rok w londyńskich szkołach sztuk pięknych albo przez różne grupy czy kluby zrzeszające artystów. Otóż większość litografii i rycin grafików z Polski umieszczona na którejś z tych wystaw nie zwracałaby na siebie uwagi swoją odrębnością. Zapewne: szczególnie w wypadku wystaw szkolnych niektóre z nich wyróżniałyby się bardziej przemyślaną kompozycją, lepszym technicznie wykonaniem, ale z łatwością można by je zaliczyć do produktów tego samego artystycznego środowiska.

Jedną na razie, ale ważną cechę odrębności należy jednak zaznaczyć: a to nieoczekiwaną oszczędność koloru. Nawet litografia — technika kusząca w sposób naturalny możliwościami jaskrawości i nieoczekiwaności barwnych zestawień — wybiera tu raczej drogę ostrożną.

Wśród owej „swojskości" na londyńską modłę wyróżniają się prace Marii Hiszpańskiej. Artystka od lat znana jest — i słusznie ceniona — jako ilustratorka. Wielu miłośników rycerskiego Rolanda czy dobrego króla Artura widzi ich jej oczami. Ale drzeworyty, które obejrzeć można na wystawie, dojrzałością i siłą pozostawiają daleko w tyle ilustracje ulubionych książek. „Święty Franciszek" jest mocny mocą celowo zrealizowanego wzruszenia. Jego dobroć została trafnie przetłumaczona na język plastyki — dlatego przykuwa uwagę i przekonuje. Literacka — ktośby rzekł: anegdotyczna — treść w niczym nie umniejsza wartości plastycznej. Przeciwnie: umiejętnie wykorzystana potęguje ją. To samo rzec by można o „Pogrzebie wrony". Narzuca się tu porównanie z twórczością Wojtkiewicza, tak jak „Śpiąca dziewczynka" przywodzi na pamięć niektóre rysunki Wyspiańskiego. Te podobieństwa nie przeszkadzają oryginalności. Hiszpańska, w przeciwieństwie do wielu artystów naszego wieku, nie zdaje się za wszelką cenę o nią walczyć. Dlatego może tak ją rzetelnie osiąga, nie wahając się często nawiązywać do tradycji.

Ale twórczość Hiszpańskiej to nie jedyna radosna niespodzianka wystawy. Największa czekała mnie w bocznej sali: „Jeździec" Haliny Chrostowskiej. Artystka nie poszła drogą naśladowania swego ojca — prof. Ostoi-Chrostowskiego. Znalazła własny wyraz twórczy. Odziedziczyła jednak wysoką kulturę artystyczną oraz intuicję rasowego grafika. Uczucia, jakie wywołuje „Jeździec", mają w sobie coś ze wzruszenia ogarniającego nas, gdy patrzymy na gliniane figury chińskie z czasów Tang, Sung i „pięciu dynastii". Charakteryzuje je (szczególnie, co ciekawe, postacie koni i jeźdźców) niewymuszona gracja, trafne wyrażenie zjawisk, które wymykają się definicji a stanowią ponadrozumową istotę dzieła sztuki. Ogólnikowo i niedokładnie określić by to można zrealizowaniem i umiejscowieniem wzruszenia o znaczeniu powszechnym, w sposób dostępny i jednoznaczny. Wszystko to odnosi się w dużym stopniu także do „Jeźdźca" Chrostowskiej.

Gdy uważniej rozejrzeć się po wystawie, szereg prac nabiera indywidualnego znaczenia. Wśród abstraktów-litografii Hanny Dąbrowskiej miłe w kolorze i swoistej dekoracyjności są „Pasy".

Ładne (aby użyć tego wyklętego ze słownika „nowoczesnej" sztuki słowa) linoryty Stanisława Dawskiego. (Ale bo, naprawdę są ładne i byłoby nieuczciwością, wspominając je stosować unik, określając ich urodę przez omówienie.)



Maria Hiszpańska-Neumann

ŚW. FRANCISZEK

(Drzeworyt, r. 1956)

Ciekawe osiągnięcie, warte zwrócenia uwagi, choćby już dla jakości technicznej, to metaloryty Andrzeja Rudzińskiego.

Kontynuacją tradycji grafiki polskiej międzywojennego dwudziestolecia są drzeworyty Mieczysława Jurgielewicza, nabrzmiałe od anegdoty, efektowne, o bogatym rysunku i dobrze kontrolowanej kresce.

Już po opuszczeniu sal galerii Grabowskiego zorientowałem się, że prace, które najbardziej zwróciły moją uwagę, wyszły spod palców kobiecych. Zjawisko nieoczekiwane, gdy weźmie się pod uwagę, że — mimo dawno osiągniętej emancypacji — kobiety stanowią w kołach artystycznych obóz zdecydowanie słabszy, a ich osiągnięcia nie często przekraczają poziom poprawnej przeciętności.

Wystawa urządzona jest „na ludzką miarę". Nie przygniatając ani nużąc ogromem, dostatecznie jest duża, by dać pojęcie o różnorodnych aspektach zjawiska, któremu została poświęcona. Jeśli dobór artystów i prac (dokonany przez Związek Artystów Polskich w Warszawie) przeprowadzony został trafnie, nie trudno na ich podstawie wyrobić sobie niejakie pojęcie zarówno o poziomie grafiki w Kraju jak i o prądach nurtujących ją i kształtujących jej oblicze.

W wieloraki sposób patrzyć można na zgromadzone w sali wystawowej dzieła sztuki: bądź starając się ocenić ich obiektywną wartość artystyczną,

bądź, w poszukiwaniu estetycznego zadowolenia niefrasobliwie odrzucając trudną rolę sędziego. Można także (choć nie wiem czy należy) oceniać i klasyfikować prace artystów jako objawy pewnego procesu historycznego czy społecznego. Ale istnieje jeszcze jeden, pozornie bardzo trywialny, sposób oglądania i oceniania dzieł wedle ich przydatności w dekoracji wnętrza. Ten arcypraktyczny punkt widzenia bywa dla twórcy, materialnie, bardzo istotny — szczególnie w kraju, gdzie sztuka nie cieszy się opieką państwa i nie smuci jego wścibskością i arogancją.

Plastyka przez wieki i tysiąclecia istnienia spełniała cierpliwie rolę Wielkiej Dekoratorki i niekoniecznie wychodziło jej to na złe. Malowidła, rzeźby, ceramika zdobiły monumentalne budowle jak i skromne mieszkania służąc chwale Boga (jak i pogańskich bogów) oraz radości, wzruszeniu ludzi. Otóż traktowana jako element dekoracyjny prywatnego angielskiego wnętrza selekcja rycin i litografii polskich artystów osiągnęłaby zapewne mierny sukces Brak jej na ogół modnej dziś intensywnej barwności, co wyjątkowo tylko (np. w wypadku Hiszpańskiej) wyrównane jest mocą rysunku. Nieprzystosowanie do angielskiego gustu w niczym nie umniejsza wartości artystycznych polskiej grafiki, ale jednak stanowić może przeszkodę w jej rozpowszechnianiu i popularności.

Pod tym smutnym trochę wrażeniem opuszczałem wystawę. Towarzyszyła mi jednak pokrzepiająca wizja „Jeźdźca" Chrostowskiej. Jego piękno powinno być zrozumiałe i przystępne zarówno dla mieszkańców Londynu, jak Warszawy, czy Tokio. Jest w tej rycinie ziarno klasycznej niemal mądrości — nieco smutku, zamyślenie i spokój. Trwałość i bezruch wśród pasm przelotności.

M. Paszkiewicz

„W I Ę Ź"

Nr 5 „Więzi" przynosi kilka ciekawych odpowiedzi na jej ankietę na temat: „Jak pod wpływem własnych doświadczeń, przeżyć i przemyśleń patrzę na wartości światopoglądowe i społeczno-moralne przekazane mi przez starsze pokolenie" — oraz ważne podsumowanie wszystkich wypowiedzi, pióra Janusza Zabłockiego, członka redakcji. Młodzież inteligencką zdaje się cechować duży sceptycyzm, wynikły nie tyle z indyferentyzmu, co z zaostrzonej walki światopoglądowej. Sceptycyzmowi towarzyszy duża tolerancja i kryzys postawy aktywnej. Pewne jednak wypowiedzi pozwalają snuć weselsze myśli: pojawia się wśród młodych duże zainteresowanie personalizmem i choć krytyka wartości starszego pokolenia jest niekiedy gorzka, przejawia się tu i ówdzie jak gdyby chęć jego rehabilitacji.

Czesław Czapów, omawiając „Problem 'nowej' młodzieży", poddaje analizie „inność" nowej generacji z punktu widzenia socjologii.

Marek Skwarnicki, w artykule „Po obu stronach telewizora", patrzy krytycznie na poziom kultury masowej i stara się wysondować różnice, które się pojawiły w aspiracjach życiowych środowisk robotniczych. Ideałem większości jest dzisiaj najczęściej „chcę być mądrym i **lekko** żyć". Aby przeciwdziałać tej utylitarystycznej tylko postawie, autor stara się rozwiązać problem, jak uratować prawdziwą kulturę w dobie masowej i najczęściej tandetnej popularyzacji.

Andrzej Siemianowski, zastanawia się (w artykule „Sceptycyzm") nad cechami sceptyka XX wieku i znajduje w nim duże zaufanie dla zdrowego rozsądku i pewną bezpośredniość, rodzącą nadzieje na odnalezienie głębszego sensu świata.

Poza tymi artykułami zasadniczymi znajdujemy w dziale „Wspomnienia, pamiętniki, dokumenty" dłuższą relację Antoniego Patka o działalności harcerzy w Radomiu w czasie okupacji niemieckiej, a w dziale „Konfrontacje" — sprawozdanie z postępu reformy rolnej we Włoszech. Dalej, w dziale „Fakty i Komentarze" dwa artykuły poświęcone uściśleniu wypowiedzi wcześniejszych: Jerzy Stokowski pisze „Jeszcze w sprawie antyklerykalizmu", a Andrzej Krasiński dorzuca swoje myśli na marginesie pracy ks. Wincentego Granata pt. „Idea osoby w pismach Emanuela Mounier".

Nr 6, nominalnie z czerwca, ale opóźniony z powodów technicznych, przynosi na pierwszym miejscu ciekawe rozważania Wojciecha Wieczorka pt. „Przemiany polskie". Na kanwie historii Polski ostatnich dwustu lat autor śledzi przemiany, które zachodziły w świadomości Polaków w odniesieniu do patriotyzmu i problemów społecznych i twierdzi, że: „Po wieloletniej nadpreferencji „zmilitaryzowanych" wątków patriotycznych, świadomość współczesnych Polaków zmierza do równowagi". Równowaga ta polega na zrozumieniu, że załatwienie spraw wewnętrzno-społecznych musi iść w parze z patriotyzmem, bo inaczej dochodzi do szafowania krwią z jednej strony, lub nieobecności warstwy chłopskiej i robotniczej w zrywach narodowych — z drugiej. Artykuł Wieczorka daje wyraz szeroko rozpowszechnionej w Polsce postawie realistycznej, stąd warto się z nim zapoznać.

Ignacy Rutkiewicz, członek redakcji, ogłasza sprawozdanie pt. „Na Zachodzie i Północy", naszpikowane tabelami i cyframi statystycznymi, odnoszącymi się do rozwoju demograficznego i przemysłowego polskich ziem północno-zachodnich.

Ryszard Zieliński w „Migracjach na ziemiach polskich" podaje statystykę, z której wynika, że na terenie Polski ruchy migracyjne objęły aż 14.650.000 osób!

O. Mieczysław Albert Krąpiec, w swojej wypowiedzi „Filozofia i filozofie", zastanawia się nad wspólnymi elementami różnych systemów filozoficznych.

W artykule „U źródeł państwowości polskiej" Jan Orłowski stara się przeniknąć mroki spowijające dzieje przedhistorycznej Polski. Uderza obfita bibliografia problemu i duże prawdopodobieństwo hipotez.

Satyra humoresek Mariana Ruth Buczkowskiego pt. „Gość z księżyca" i „Mitologia i placki" pobudza do zdrowej zadumy.

W dziale „Nad książkami" warto przeczytać recenzje Zdzisława Jastrzębskiego o „Antologii polskiej poezji podziemnej (1939-1945)", Jana Szczawieja oraz bardzo ostrą krytykę pamiętników gen. J. Rómmla „Za Honor i Ojczyznę", pióra Bohdana Skaradzińskiego.

W „Faktach i komentarzach" Gabriel Osuchowski pisze na bardzo ciekawy temat rozwoju inicjatywy lokalnej w woj. warszawskim. Mowa tu o tzw. „czynach społecznych" i spontanicznym powstawaniu Społecznych Komitetów Budowy, które są żywą reakcją przede wszystkim ludności wiejskiej na marazm i biurokrację czynników oficjalnych.

z. e. w.

GESTY I MANEWRY

(Dokończenie ze str. 19)

sałem niniejszy list do Pana, Panie Premierze."

Nad intepretacją listu łamią sobie głowę niemieccy i zagraniczni komentatorzy. List ten może być gestem, dowodzącym, że Niemcy, posądzane o mącenie stosunków międzynarodowych, chcą się przyczynić do poprawy atmosfery w czasie rozmów amerykańsko-sowieckich. List ten może być reakcją na presję amerykańską w kierunku zajęcia bardziej ustępliwego stanowiska w stosunku do Polski; przez próbę odprężenia niemiecko - rosyjskiego rząd w Bonn mógłby dać do zrozumienia, że NRF nie jest skazana tylko na pomoc amerykańską.

Ale mogłoby to być również dyskretne napomknięcie, że kapitalistyczne Niemcy i komunistyczna Rosja mogłyby się porozumieć co do bliższej współpracy.

Jedno wydaje się pewne: zbliżenia polsko-niemieckiego nie należy w najbliższym czasie oczekiwać. Ostatnie posunięcia zdają się potwierdzać pesymistyczne oceny, że Bonn nie zależy ani na zbliżeniu do Polski ani na normalizacji stosunków z Warszawą. Nie chce ich, bo w niemieckiej myśli politycznej pokutuje dogmat, że istotnym sąsiadem Niemiec na Wschodzie jest tylko Rosja. Świadomość istnienia państwa polskiego nie przeniknęła dostatecznie do mentalności niemieckiej.

St. Czechanowski

LISTY I UWAGI

GETTO CZY NIE GETTO?

Melancholijny jest reportaż J. B. z Wiednia w lipcowym numerze ŻYCIA. Bo czyż to nie smutne: Polonia tak liczna bez polskiej organizacji, bez pisma — z opuszczonym i zapomnianym kościołem polskim. — W zakończeniu „obrok duchowny", czyli wnioski praktyczne. A więc, że należy wszelkimi siłami, wbrew wyśmiewiskom ludzi lekkomyślnych podtrzymywać polskie placówki, parafie, organizacje, obchody i obrzędy, choćby kto mówił, że to „getto".

J. B. ma słuszność. Ale przecie w Wiedniu był kościół polski! Były zapewne organizacje. Było nawet polskie pismo. Polonię w Wiedniu położył zapewne Zimmermahler Adolf... Dobiła ją (uduszenie poduszką!) okupacja czterech mocarstw i atmosfera znana nam z książki i z filmu „The red Danube". Polonie raz wykończone z trudem podnoszą głowę. Tak jest tu w Brazylii — przygnębienie wywołane nacjonalizacją z lat 1938-45 trwa i odbiera ludziom odwagę... Dzisiejsze czasy są zimne, wyrachowane, materialistyczne i — co tu dużo mówić — pozbawione NADZIEI.

A i „getto" dziś niemodne. Niemodne w społeczeństwach obcych, niemodne i śmieszne dla nas samych. Pamiętam jak to Rada Naczelna Organizacji Polskich w Australii ogłosiła oświadczenie, że Polacy nie chcą żyć w getcie, bo chcą brać udział w życiu Australii. Takie same nastroje wyczuwa się we wszystkich krajach, dokąd rodaków naszych zagnały losy.

Sęk zaś w tym, że my nie umiemy jakoś pogodzić życia poza gettem z podtrzymywaniem polskości. Albo — albo i zbyte! A tymczasem te pozornie sprzeczne sprawy dają się pogodzić. Jak się to robi — pokazuje nam, jeżeli nie cała, to przynajmniej duża część Polonii amerykańskiej. I to się dzisiaj powinno propagować: mądre godzenie życia polskiego z życiem narodów, wśród których żyjemy.

Dodam jeszcze jedną uwagę z doświadczeń brazylijskich: najdłużej w gasnących „poloniach" utrzyma się przy życiu gazeta... Dlatego ratujmy gdzie można i jak można polskie pisma lokalne i nadajmy im, gdzie się da, właśnie charakter pisma swojskiego, bliskiego, „gościa w rodzinie"...

Ks. W. Sojka C.M.
Kurytyba

WYJAŚNIENIE

W związku z notatką o przyjęciu w Polskim Ośrodku Naukowym (ŻYCIE nr 8/9, sierpień - wrzesień) otrzymaliśmy wyjaśnienie od **prof. T. Komarnickiego, przew. Komisji Bibliotecznej P. O. N.:**

„Zarzut zawarty w tej notatce co do niezaproszenia publicystów katolickich nie jest ścisły, gdyż na przyjęcie to byli zaproszeni pp. J. Kisielewski i S. Grocholski. Jeżeli ktoś został pominięty, to nie wynikało to z żadnych tendencji uchybienia komukolwiek, ale tłumaczyło się jedynie szczupłością lokalu. Przyjęcie miało w pierwszym rzędzie na celu zaznajomienie z instytucją przyjaciół angielskich, z których rzeczywiście wielu po raz pierwszy przekroczyło progi naszej instytucji. Żałuję bardzo, że autor notatki oparł się w charakterystyce tego przyjęcia na notatce humorysty z „Dziennika Polskiego", który, nie przyznając się zresztą do tego, niejednokrotnie korzystał z naszych usług. Wydaje mi się, że byłoby bardziej sprawiedliwym oprzeć się na relacji jednego z członków redakcji ŻYCIA, obecnych na przyjęciu."

ŻYCIE

KATOLICKI MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ROK XIII Nr 10(571)

październik 1959 r.

Wydaje:

Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas", 12 Praed Mews, London, W.2
Telefony: AMBassador 6879; PADdington 9734

Redakcja: Godziny przyjęć codziennie z wyj. sobót, niedziel i świąt g. 3-4 pp. Redakcja rękopisów nie zwraca.

Administracja: Czynna codziennie od 9-12 i 2-5 z wyj. sobót, niedziel i świąt. **Prenumerata** (płatna z góry): kwartalnie: szyl. 9/-, dol. 1.50, fr. fr. 620; półrocznie: szyl. 18/-, dol. 3.00, fr. fr. 1240; rocznie: szyl. 36/-, dol. 6.00, fr. fr. 2480. W prenumeracie lotniczej dolicza się koszt przesyłki lotniczej. **Wpłaty: a) w krajach bloku szterlingowego:** Postal lub Money Orderami lub czekami bankowymi 'crossed' (//), **b) w krajach bloku dolarowego:** International Money Orderami lub zwykłym przekazem jakiegokolwiek banku amerykańskiego, **c) we wszystkich innych krajach:** do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym wprost do Administracji ŻYCIA. Zmiana adresu szyl. 1/-, płatne równocześnie z zawiadomieniem.

Ceny ogłoszeń: 1 cal × 1 łam £1.5.0, dol. 3.00., fr.fr. 1000. Kolor 100% drożej.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Argentyna: „Libreria Polaca", Serrano 2076, piso I, Buenos Aires. **Australia: „Społem"**, 64 Tapley's Hill Rd., Royal Park, Adelaide, S.A., **Vistula (Aust.) Pty Ltd.**, Daking House, Rawson Place, Sydney, N. S. W. **Belgia: Mme E. Kulakowska**, 1, Avenue Tedesco, Bruxelles 16. — Pren. kwart. 60 frs. **Brazylia: ks. dr Antoni Łatka**, Praca Cel. Fernando Prestes No. 233, Sao Paulo. **Dania: Ks. O. J. Szymaszek**, Skt. Annae Kirke, Hans Bogbinders Alle 2, Kobenhavn S. **Francja: W. Olszewski**, 39 Avenue de la Republique, Bessancourt (S. et O.) C. C. P. Paris 13512.43. **Holandia: B. Galas**, Fagelstraat 15A, Breda. **Kanada: Vatra Trade**, 273½ Selkirk Ave., Winnipeg 4, Man. **Niemcy: St. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13b) München 45. Pren. kwart. 5.40 MD. **Norwegia: B. Łubiński**, Kongesgat 2, Moss. **Stany Zjednoczone: „Gryf Publication"**, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; **M. Kijowski**, 1176 Woodland Ave., Plainfield, N.J. **„Pomoc" — Eksport-Import**, 761 Filmore Ave., Buffalo 12, N.Y. **Miss Alicja Kowalczyk**, 12135 St. Aubin Hamtramck 12, Mich. **Szwajcaria: Mme B. Gierszewska**, Wallisellenstr. 483, Zurich, konto poczt. Zurich VIII 50734. Pren. kwart. 3.75 fr. **Szwecja: Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13B. Pren. kwart. 7.00 krs. **Włochy: Antoni Grzybowski**, via C. T. Odescalchi 31/17, Roma.

SPRAWY I LUDZIE

(Dokończenie ze str. 2)

z sierpnia br. wielkiej firmy wydawniczej w Hadze, Mouton & Co., zapowiadającego wydanie I części monumentalnego dzieła **ks. kan. Stanisława Bełcha o Pawle Włodkowicu.**

✠

Delegacja polska z Kraju wzięła udział w „seminarium“ Pax Romana w Batschuns; tematem były „Problemy krajów upośledzonych gospodarczo i rola katolickich studentów w rozwiązywaniu tych zagadnień“.

W skład polskiej grupy wchodzili **przedstawiciele „Więzi“, Klubów Inteligencji Katolickiej z Warszawy i Poznania oraz młodzieży akademickiej.**

Była to rewizyta, bo w lecie grupa z Pax Romana odwiedziła Polskę (objazd kraju, **obóz letni w Bachotku** i spotkania z działaczami katolickimi).

✠

GIORGIO LA PIRA, b. burmistrz Florencji, działacz katolicki, protestował przeciwko twierdzeniom niektórych pism, które zarzucały mu, iż — z okazji podróży do Rosji — chwalił wolność religii w Związku Sowieckim. Odwrotnie, protestował tam przeciw antyreligijnym wystąpieniom „Prawdy“. W oświadczeniach swoich stwierdzał żywotność wiary wśród ludności Rosji, „pomimo akcji i dyrektyw partii komunistycznej“.

✠

Ks. prof. dr L. STEFANIAK, biblista archeolog, redaktor „Ruchu Biblijnego w Liturgii“, wziął udział w kongresie międzynarodowym studium Nowego Testamentu w Norwich (8—11. 9); miał tam referat o problematyce qumrańskiej. Odwiedził uniwersytety w Oksfordzie i Cambridge.

✠

MRS. SUE RYDER-CHESHIRE, współzałożycielka domów dla dzieci i nieuleczalnie chorych w Konstancinie i Żyrardowie, mówiła o położeniu polskich uchodźców (29. 9. w Londynie, zebranie Zjedn. Polek z okazji światowego Roku Uchodźczego). Mrs. Cheshire wystąpiła **ostro przeciw rządowi w Bonn w sprawie odszkodowań należnych Polakom.**

✠

Księgarnia Wydawnicza Watykańska wydała kompletny **ZBIÓR PRZEMÓWIEŃ Ś. P. PAPIEŻA PIUSA XII:** zbiór przemówień przed wstąpieniem na Stolicę Piotrową i 20 tomów wystąpień (w językach, w których zostały wypowiedziane czy napisane). Stron 10.534; indeks; cena dol. 76.20 (poszczególne tomy można nabywać osobno).

✠

W londyńskim **INSTYTUCIE FRANCUSKIM** (Institut Français, Queensberry Place, South Kensington) odbędą się niezwykle interesujące odczyty:

czwartek, 22. 10. o godz. 20.15, Marie Madelaine Davy — **„UN PHILOSOPHE ITINERANT: GABRIEL MARCEL“:**

czwartek, 29. 10. o godz. 18.00, **GABRIEL MARCEL** — „UN CRITIQUE FRANCO-ANGLAIS: CHARLES DU BOS“.

✠

„PROCES JEZUSA“, sztuka **Diego Fabbri** („Proces a Gesu“) osnuta na koncepcji (swego czasu lansowanej) przeprowadzenia rewizji procesu Chrystusa przez współczesnych Żydów, jest wystawiana w Londynie: **„MAN ON TRIAL“ w Lyric, Hammersmith** (RIV 4432). Wywołała duży rozgłos, kontrowersje, dyskusje.

SPROSTOWANIA

W lipcowym numerze ŻYCIA, w artykule „Największy kraj katolicki“ znalazły się dwie omyłki: 1) Literki „t.zw.“ przed słowem „Brazylianami“ (wiersz 20 pierwszego łamu) zniekształcają sens zdania. 2) W pierwszej też szpalcie na str. 22 słowo „Pascao“ należy zastąpić słowem „Pascoa“. Znaczy ono tyle co „Pascha“ czyli „Wielkanoc“.

W artykule „Szekspirowskie metamorfozy“ podpisanym przez Han. Skar-wicz (ŻYCIE nr 8/9, 569/570) wkradły się dwie pomyłki: 1) na stronie 35, szpalta 1, wiersz 3 od dołu wydrukowano mylnie „the marry men from the Stratford“, powinno zaś być: the merry men from the Stratford“; 2) na stronie 36, szpalta 3, wiersz 46 od góry — wydrukowano błędnie: „niezdolni byli do żmudnych głębszych uczuć“ zamiast: „niezdolni byli do żadnych głębszych uczuć“.

W artykule St. Czechanowskiego pt. „Niemcy — Polska — Europa“ w nr. 8-9 (wrzesień 1959), str. 14, pierwsze zdanie w 2 łamie winno brzmieć: „Tu Wenger się myli: Prusy Wschodnie i Zachodnie należały wprawdzie w XIX w. do Prus, nie wchodziły jednak w skład **Niemieckiego Związku (Deutscher Bund).**“ W tekście podano mylnie „w skład Rzeszy“.

WYSTAWA OBRAZÓW
HALIMY NAŁĘCZ
w NEW CENTRE GALLERY
4 Seymour Place, W. 1.
7 — 24 **październik**, godz. 09.00 - 18.00
(z wyj. niedziel)

Wstęp wolny.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews. London, W.2. Tel.: PAD 9734.